



164



CHŁOPIEC

Z POD

SKALMIERZA.

320

CHICAGO

1890

REAR VIEW

CHŁOPIEC

Z POD

SKALMIERZA

PRZEZ

MARCELLEGO SKOTNICKIEGO.



WARSZAWA,

NAKŁADEM G. SENNEWALDA KSIĘGARZA

PRZY ULICY MIODOWEJ N. 481.



1845.

1940
6105

A. 14808

Wolno drukować z warunkiem złożenia
w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, pra-
wem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie d. 29 Kwiet. (11 Maja) 1844 r.

Cenzor Starszy i Naczelnik K. C. W.



AWAZ UNOS

liter 13 a

W DRUKARNI J. UNGER.

D 816 | 56 | 370.

I.

Czy znacie moi czytelnicy, to smutne przejście z dostaku do ubóstwa, z wygod życia do najgwałtowniejszych potrzeb, do zimna, głodu, pragnienia? — Czy doświadczyliście ich kiedy, czy wam zdarzyło się je widzieć, czy kiedy pomyśliliście o nich? Szczęście i nieszczęście względniem jest zaiste, i zależy od wyrobienia naszych pojęć, albo też wynika z porównania. Szczęśliwy, czyje pojęcia potargały świecidła i blaski, przebiły się ze śmieci powleczo-

nych złotą siatką i podeptały je nogami; szczęśliwy, kto na niezewnętrznych przymiotach; ale na sobie samym, na swych uczuciach i sercu założył posady szczęścia; jedném słowem, kto pokochał mierność i cnotę.— Lecz i ta mierność ma swoje potrzeby, lecz i ta mierność, gdy do niej przywykniemy, każe się kochać, tak dla nas jest lubą, przyjemną, że gdy nas opuszcza zamieniając się w potrzebę, boleść sprawuje, że tęskniemy do niej, wzdychamy jak za ubóstwioną kochanką, której nam niebo pozazdrościło.

Otoż wam to przejście z mierności do potrzeby, z potrzeby do ubóstwa, z ubóstwa do nędzy przedstawię. Może nie wszyscy będziecie smakować w podobnym obrazku? mdle piękności, które ziewają po wczorajszym balu, znudzone, przesycone życiem, miłością, zbytkiem, fałszem niech się nie trudzą daremnie; moje opowiadanie będzie prostém, naturalném, niewymuszonym, a dla nich potrzeba czegoś innego;

ja niewiem czego, one same nie umieją powiedzieć czego im potrzeba; ale to pewna, że nie mojej powieści.

Modni panicze z pięknymi fryzurami na głowie, z piękniejszym strojem, świeżo sprowadzonymi z Paryża rękawiczkami, (po które tylko podobno jeździli), z włoską piosneczką w ustach, czczem sercem, a więcej czczą głowę, niech także darmo się nie trudzą; nie ma tu intryg miłosnych, którychby się uczyli, nie ma uwiedzeń, któreby potem opowiadali za swoje, nie ma dowcipu, którymby się popisywali w salonach; zgoła nie masz tu nic dla ich głowy i serca. Niech siedzą sobie w francuzkiej literaturze; tam, tego, co im potrzeba do salonowego wykształcenia nauczyć się mogą. — U mnie jest tylko obrazek, obrazek prawdziwy, nieco czuły, nieco moralny. — Za niego nie odpowiem na sądzie Boga, że m albo fałsze rozsiewałam, albo zepsucie przelałam, albo że m komu pochlebiałam. — Małe jego zalety; ale i usterki niewielkie.

W okolicy Skalmierza, mieszkał w małym wójtowstwie ubogi szlachcic, nie tak przecież ubogi, aby mu zbywało na kawałku chleba; lub na przyzwoitej odzieży; lecz stosunkowo do innej szlachty biedny, bo wójtowstwo było małe, zaledwie miało czterdzieści korcy wysiewu i dwóch tylko poddanych; nadto, wójtowstwo nie było jego własnością, lecz nadane prawem emfiteutyczném na pewną liczbę lat nieboszczykowi jego ojcu przez klasztor xięży Cysterców Jędrzejowskich (*). Szlachcic ten miał żonę, nie uczoną, ale rozsądną i pracowitą kobietę, z niej miał pięcioro dzieci, to jest dwóch chłopców i trzy córki.— Dochody z wójtowstwa tak były małe, że zaledwie wyżywić biedną potrafiły familją, o wychowaniu zaś dzieci pomyśleć było niepodobna, i poczciwa matka, chociaż to było nad jej siły, baczna o przyszłość swe

(a) Jędrzejów w Krakowskiem, sławne pobytom naszego historyka i świętego Wincentego Kadłubka.

go potomstwa, jeła się do dzieła, które macierzyńskiemu sercu tyle sprawiło przyjemności. — Zaczęła pokazywać dzieciom litery, nauczyła następnie składać sylaby, czytać, nieco pisać i rachować, i kołysana nadzieją nie raz marzyła, że może jaka sposobna nawinie się okoliczność, że jój synowie będą mogli uczyć się więcej i przemyślała, żeby jaki ksiądz wziął którego jój syna; tym czasem, kazała chłopcom czytać, pisać, rachować, i cieszyła się ich postępem, bo ją przewyższyli od dawna. — Mimo jój starań, nadzieja nie spełniła się wcale, wydatki powiększały codziennie, bo dzieci rosły, a prócz tego okropna przychodziła chwila, w której miał skończyć się czas wójtostwa. — Drżała na samo to wspomnienie poczciwa matka i nieraz mówiła mężowi, że potrzeba myśleć o przyszłości, żeby sami i dzieci nie pozostali bez chleba. — Bądź spokojną, mąż jój odpowiadał, póki ja żyję nie braknie wam kawałka chleba — mówił i często to żonie powtarzał, a w rze-

czy saméj nie myślał o niczém, bo chociaż był to szlachcic poczciwy, to jest nikomu nic złego nie zrobił, modlił się, nie pił i sąsiadom czém mógł, pomagał; jednak był to człowiek, jak wielu z przeszłego wieku, bez myśli, bez życia, bez daru przywydowania.—Biedna żona i matka licząc z trwogą godziny, przypominała mu często: otóż, mówiła, za rok zbliża się termin, otóż tylko pół roku, otóż kwartał tylko, a potém, będziemy musieli zebrać kawałka chleba.

Bądź spokojną, ja myślę o tém, odpowiadał jéj mąż, a mimo tego czas się zbliżył i mąż nic nie obmyślał,—Klasztor tymczasem, inaczéj rozporządził wójtostwem, i szlachcic chcący, niechcący musiał się wyprowadzić.—W chwili tak przykréj, ocknął się szlachcic; lecz cóż miał przedsięwziąć? prawda, że mu zbywało na środkach; ale i temu zaprzeczyć nie podobna, że ich wcale nie szukał.— Teraz koniecznością przywiedziony, musiał coś zrobić;

przyzwyczajony jednak żyć z dzisiaj na jutro, tém czasowo dla siebie i swęj rodziny obmyślił schronienie.

Pojechał więc do sąsiedniej wsi, najął chatę, obórkę na bydło, stajenkę na konie i szpichlerz na liczne graty i znowu zasypiał spokojnie, jakby sobie i całej familji przyszłość dostatnią zapewnił.

Powróciwszy do domu, rzekł do żony swoim zwyczajem: Bądź WPani spokojną, otóż mamy mieszkanie i pod gołem niebem siedzieć nie będziemy. — Nic nie rzekła żona szlachcica, ale lzy zakręciły się w jęj oczach i poszła do swego zatrudnienia.

W parę tygodni zaszły fury, wyprzątniono wójtostwo i szlachcic wyprowadził się do sąsiedniej wsi — żona opuszczając dom, w którym tyle czasu spędziła i w którym wychowały się jęj dzieci, zapłakała rzewnie i przez całą drogę, smutna przyszłość nie ustępowała jęj z oczów, mąż spokojnie palił fajkę, a dzieci śmiały się i były wesołe, bo jechały. — Szczęśliwa młodość! jęj

wszędzie dobrze, wszędzie swoboda — byle zmiana obrazku, otóż i dobrze, a nawet lepiej.

Łzami biedna, poczciwa matka i żona powitała nowe schronienie, obrane przez męża dla niej i dzieci; zajęła się ustawieniem sprzętów wraz ze służącą, mąż pomieszczeniem bydła i koni, a dzieci swobodnie bawiły się przed domem z innymi dziećmi, a chociaż dzieci te były wieśniacze, chętnie ich przyjęli bo u nich była prostota, szczerłość i miłość dla wszystkich.

W tydzień po zajęciu nowego mieszkania, szlachcic pojechał na jarmark do sąsiedniego miasta, a z nim poprowadzono parę wołów, krowę i kilka sztuk trzody. — Żona sama pozostała w domu; chociaż doradzała sprzedawać, bo na cóż trzymać dobytek, gdy niema gospodarstwa?... jednak usiadła i rzewnie płakała. — I jakże nie płakać?... te woły i krowę i trzodę ona wychowała, prawie własną wykarmiła ręką, te woły i krowy żywiły ją i jej dzieci;

dziś sprzedane, dostaną się w obce ręce, będą komu innemu pracować i kogo innego żywić, a ten kto inny, może nie będzie czuł tego, może nie pomyśli nawet że im winien chleb, który spożywa i zamiast wdzięczności będzie je głodził i batogiem okładał. — Jakże nie miała płakać? kiedy codzień zmniejsza się ich mienie, kiedy znowu sprzedać wypadnie i znowu przejeść i tak dalej, i tak bez końca, aż do ostatniego bydłęcia, aż do ostatniego grata, aż do ostatniej sukni, do ostatniej koszuli.

Siedząc przy oknie i naprawiając koszulkę dla najmłodszego dziecięcia, tak myślała biedna matka; przestała robić, bo robota wypadła z jej ręki, oko zaćmiło się i lza gorzka, nie modnej damy, o nową suknię, o bal, o płochego kochanka; ale o chleb, o dzieci potoczyła się strumieniem po pięknej niegdyś, a dzisiaj po miłej twarzy.

W tej chwili, tak rzewnej, tak poruszającej dla każdego czulego serca, wszedł

najstarszy syn Augustynek, chłopiec mający lat 9. — Wszedł płocho jak nie myślące, rozpustne dziecko; trzymał bąka w ręku i nawijając go na sznurek, chciał puścić na izbę aby fruczał, kręcił się i skakał. — Ciężkie westchnienie matki zatrzymało go, spojrzał ku oknu i ujrzał matkę opartą na dłoni, zapłakaną i smutną. — Bąk wypadł mu z ręki i nie myślał go podnieść, stanął jak wryty, patrzył długo na matkę, coś zabolalo go w sercu, zaświędziało oko i boleść, pierwsza najokropniejsza boleść wydarła się z serca, przez piersi łkaniem, przez oko łzą czystą, dziecinną.

Było to pierwsze przebudzenie duszy dziecięcej, było to wyswobodzenie się myśli, wewnątrz ukrytej, niewidzialnej. — Dla czegoż potrzeba, aby to przebudzenie następowało boleścią? dla czegoż potrzeba, aby pierwszą myśl oplacać łzą, aby wzniesienie się człowieka nad bezrozumne zwierzęta, aby poznanie duszy, tej nieśmiertelnej cząstki bóstwa, następowało środkiem

cierpienia?.. Mądre w tém widać wyroki bóstwa, które chciało, aby człowiek uczuwając boleść, badał sam siebie, aby cierpiąc, cierpienia drugich pojmował, aby pogardzając blaskiem i zbytkiem, zbliżał się do bóstwa i w ludzkości je widząc, ludzkość miłował.

— Czego płaczesz Augustynku?.. zapytała matka, ocucona łkaniem dzieciaka.

— Ja niewiem, odrzekł ze łzami chłopiec; matka płacze i mnie coś zabolalo, ale teraz mi lepiej.

— Dla czegóż ty masz płakać bez przyczyny Augustynku? rzekła z dobrocią matka; ja płaczę, bo mam tego powody; ale ty.....

— A o cóż matka płacze? zapytał chłopiec.

— Idź do dzieci się bawić, ty tego nie zrozumiesz.

— Dla czego nie mam zrozumieć? ja nawet wiem o co matka płacze.

— O cóż takiego? zapytała matka ocierając łzy i przybierając spokojność.

— Oto, rzekł chłopiec, że ojciec poprowadził bydło do miasta i na nas nie będzie miał kto robić.

— Tak mój Augustynku, jest to wielka bięda, kiedy człowiek potrzebne zaczyna sprzedawać, a podobno na bydle nie będzie koniec.

— To może ojciec szafy i łóżka posprzedaje?

— Jak będzie potrzeba was pożywić, koszulę nawet sprzedam ja sama.

— Oh! moja matko, to będzie bardzo okropnie.

— Tak okropnie, że tego pojąć nie jesteś wstanie.

— A jak dorosnę?...

— Cóż z tego będzie?... zapytała z uśmiechem gorzkim rozczulona matka.

— Jak dorosnę, zostanę księdzem, będę miał probostwo, wezmę matkę, brata, siostry i ojca do siebie.

— A jakże księdzem zostaniesz? na księdza Augustynku potrzeba nauk, a ty

ich nie masz i mieć nie będziesz, bo nie mamy za co do szkół ciebie oddawać.

— Ja się sam będę uczył, odrzekł po chwili namysłu chłopczyna.

— Sam nie podotasz.

— To mi matka pomoże.

— Tam potrzeba innych nauk, których ani ja, ani ojciec nie umie, a których samemu uczyć się nie podobna.

Zasępiło się oblicze chłopca, zamilkł na chwilę, a potem mówił:

— To czém inném zostanę; ale na chleb będę pracował, tym czasem zaś, będę się uczył, co będę mógł.

— Ucz się, a prosz Pana Boga, to tobie i nam dopomoże.

— Co dzień rano i w wieczór będę się modlił, a teraz zniszczę mojego baka, mój luk i inne zabawki; albo lepiej daruję je komu.

To mówiąc chłopczyna zbierał swoje zabawki, a matka przestawszy plakać powstała, aby dzieciom wydzielić śniadanie.

Powrócił szlachcic z jarmarku, sprzedał woły, krowę i trzodę i siedział jakiś czas spokojnie, bo miał pieniądze i dobywał talar po talarze, złotówkę po złotówce, aż do ostatniego talara, aż do ostatniej złotówki; a chociaż żona często mu powtarzała, że trzeba myśleć o sobie, szlachcic pozostał nieczynny, bo sam nie wiedział co począć, bo urodził się na wójtostwie, na wójtostwie wychował i na wójtostwie żyć przywykł; dzisiaj wójtostwa nie stało, cóż robić?...! był szlachcicem, nigdy nie służył, dziad i pradziad jego służyli prawda, ale służyli na wielkich dworach i u wielkich panów, a służyli od dzieciństwa, on zaś nigdy nie służył i nie wiedział w jakąby wejść służbę.

Siebie, dzieci i żonę pożywić było konieczne, — dzisiaj wół i chłop na niego nie pracuje, więc trzeba sprzedawać co można — i szlachcic sprzedawał sprzęty, graty i suknie.

Patrząc na to biedna żona, zalewała się

łzami; ale dzisiaj już nie sama, dzisiaj Augustynek towarzyszy jej każdemu wstąpieniu, towarzyszy każdej łzie z tak rzewnych wylanęj pobudek. — Wreszcie i sprzętów nie stało i suknie się wyprzedaly i żadnego do życia nie ma sposobu. — Nadeszła zima, chłodna, wietrzna, mroźna zima, dla wszystkich biednych, okrutna, nielitościwa zima. Matka, obszywa jak może, ubogie dzieci sukienki, ostatnie wydobywa zasoby, sprawia im trzewiki i bótiki, a oprócz tego pracuje i przemysła, aby je z dnia na dzień wyżywić — Ojciec rzekł pewnego dnia: trudno, trzeba iść służyć; lecz w tej porze gdzież służbę wynaleść? jakże bez ciepłego ubrania puszczać się w daleką drogę?

Często dzieci zaledwie posilone, z uszczerbkiem strawy matki, ziębną i kostnieją, bo drzewo drogie w tej okolicy; a choćby było i tanie, nie ma go za co kupić; Augustynek widzi, jak matka płacze, słyszy jak dzieci narzekają na zimno i serce go

boli i chciałby, żeby było ciepło i żeby nikt nie płakał. Lecz cóż może zrobić dziecko dziesięcioletnie dla braci, siostr, matki, ojca, co samo dla siebie nawet?— W tym wieku siły fizyczne tak słabe, w tym wieku umysł tak niedołążny, w tym wieku myśli tak płocze, dziecinne! — Prawda, nie zrobić nie może, coby zmieniło byt, coby los srogi ułagodziło; ale może przynieść pociechę, może ulżyć nędzy tyle, ile ujmuje jej przyjazne na żebraka spojrzenie; może prowadzić ślepego ojca, lub matkę przed progi litościwych ludzi, może strzedz ich zdrowia, czuwać przy ich łożu boleści, może podać szklankę wody, wyżebrać kawałek chleba, może zapłakać i na ich grób garść ziemi rzucić.— Nie jestże to dosyć, na jego wiek, na jego stan, na jego niedołążność?— Wiek, stan, położenie nigdy nie stawiają tamy działania w zakreślonym przez opatrność kole; każdy najuboższy, najlichszy, najslabszy człowiek może gdy zechce działać, może gdy zechce

być bratem, człowiekiem, człowiekiem użytecznym ludzkości. — Niech tylko ma miłość w duszy, niech nie kocha sam siebie, niech nie myśli tylko o sobie, niech wzajemnie oplaca to, co ludzkość czyni dla niego a znajdzie środki, że lżę obetrze, że ranę zagoi, że przyniesie radę, pociechę, że będzie tém, czém go mieć Bóg chciał i do czego go wrodzone serca uczucia powołują.

Chciałbym szczerze pomódz mojemu bratu, chciałbym pocieszyć schorzałą ubogą matkę, chciałbym z nieszczęścia wyratować mojego przyjaciela, chciałbym ulżyć całej ludzkości; ale sam, tak jestem potrzebnym, sam mam tyle wydatków, tyle potrzeb!.. mój stan wymaga świetności, muszę żyć wystawnie, niepodobna, abym tysiąca złotych na śniadanie żałował; to być nie może, żeby moja żona nie miała karety; to niepodobna, żebym jęj nie sprawił nowego szalu i pereł, wszystkie kobiety, nawet uboższe w nie się ubierają; mam

kochankę, żyć bez niej nie mogę; ona mnie tak czule kocha, tak mi wierna, tak lubi się bawić, tak lubi mieć obszerne salony, a za cackami aż szaleje; mamże kilkunastu tysięcy na rok odmawiać, dla jej miłości? prawda, żałuję mojego ojca, biedny ojciec! podobno chory, ale cóż ja temu winien? nie wziąłem mu nic, czemu nie pamiętał o sobie?.. Żal mi go szczerze — ale na honor nic dla niego zrobić nie mogę. — A mój brat? i ten do mnie pisał, że spalił się, że ma długi, że nie ma czém zapłacić dzierżawy — przyznam się; ale co ten, to rządzić się nie umie — mimo tego chciałbym coś zrobić dla niego, ale... albo, co to za nędza, jakie spodlenie téj ubogiej klasy, serce się kraje, na honor, gdyby można... prawda, mam kilkanaście tysięcy, ale karnawał, bal dać trzeba koniecznie, tyle osób będzie dawało bale, ja pozostać w tyle nie mogę. — Takim to językiem przemawiają wszyscy pseudofilantropi, rozprawiający o pomysłności ludów, z miękko

wysłanych, adamaszkami i axamitami pokrytych sof, kanap i *kozės*, rozczulające się aż do łez, piękne damy, strojne w brylanty, perły i angory, których jedna szpileczka, jeden pierścionek mogłyby otrzeć łzy sierocie, uratować umierającą wdowę. Wszyscy salonowi panicze, dowodzący potrzeby wsparcia cierpiącej ludzkości, przy huku korka szampańskiego wina i wśród wonnego dymu, drogich hawańskich sygar.— Ich miłość dla ludzkości jest tak wielka tak nieograniczona, mianowicie wtedy, gdy idzie o pokazanie się, że wszystko uczynić są gotowi, oprócz ofiary z siebie; gotowi nawet dać koncert, komedię, poliszynela, bal, ucztę, piknik, byle nie swego— tam zawsze jest owe przeklęte *ale*. — Niech sobie co chce kto mówi; ale ja jestem wyperswadowany i mam ich za usprawiedliwionych — wiem bardzo dobrze że ich potrzeby są niezliczone, że żądze niewypowiedziane i bez granic, a próżność w głowach i sercu pomieścić się nie może.

Ale do czegoż ta litość, do czegoż to udawanie współczucia, do czego ten język tak sprzeczny z sercem, myślami i chęcią? Obludnicy! czy myślicie że oszukacie ludzkość całą, że osłonicie się waszą obłudą przed Bogiem?

Pewnego dnia, kiedy w ubogiej chacie szlachcica od dwóch dni ogień nie postał, a dzieci z poduszek wychylając głowy, płacząco jeść wołały i biedna matka obdzieliwszy ostatni kawałek chleba, zalała się łzami, a ojciec nie chcąc patrzeć na nędzę wyszedł — Augustynek zawołał:

— Nie płacz Anusiu i Karolciu zaraz tu będzie ciepło — i wybiegł.

Matka nie zważała na jego mowę, bo sądziła, że jak ona sama, tak i Augustynek chciał zziębłe pocieszyć dzieci.

Godzina jedna i druga minęła, a nie wi- dać było Augustynka i niespokojna matka kilkakroć wyszła przed dom i donośnie po imieniu go wołała. — Nakoniec myślała sobie, że pewno z wiejskimi chłopakami po-

szedł na ślizgawkę i zamierzyła nawet ukarać go gdy powróci, żeby więcej nie dartał bótów, które sprawić było jej niepodobnem.

W tej myśli, gdy siedziała przy oknie i spieszenie dokończając koszulę dla jednej wieśniaczki, za którą miała dostać trochę kaszy i ćwierć kartofli; ukazał się Augustynek ciągnący za sobą dwa pęki świeżo naciętego chrustu, któren połączywszy postronkiem, przytwierdził do obu ramion:

— A on co zrobił? zawołała matka, biedny chłopiec!.. prawda dotrzymał wam słowa moje dzieci, że będziecie miały ciepło.

Po chwili wszedł Augustynek, zaczerwieniony, zziębły; ale radosny, szczęśliwy i wesoly.

— Kto ci kazał biegać tak daleko?

— Kto kazał pytasz matko? — takie rzeczy się nie każą, takie rzeczy to sam tylko człowiek zrobić powinien, gdy może. Zapewneby dziesięć zim minęło, a nie

kazałabyś moja matko iść naciąć chrustu i przyciągnąć go na ramionach.

— Oh! zapewne moje dziecię, jabym nie śmiała nawet o tém pomyśleć, rzekła matka zalewając się znowu łzami.

Augustynek wziął siekiere, aby poprzecinać przyniesiony chrust; młodszy jego brat, a nawet małe siostry powychodziły z pod poduszek i łamiąc gałązki, pomagały mu do ogólnego dobra — ogrzania izby.

Minęła zima, biedna rodzina wśród nędzy doczekała pierwszego promienia wiosny, a Augustynek nie znosząc tyle drzewa co dawniej, myślał nad tém, coby zrobić można dla przyniesienia ulgi matce, ojcu, siostrom i bratu.

II.

Słońce wiosenne do życia przywołując całą naturę, pokrzepia zarazem zwątlone siły człowieka, wlewa do serca otuchę i nawet skołatany troskami umysł weselsze mi niekiedy pociesza myślami. — Rodzina szlachcica z nadchodzącą wiosną, jeśli nie była szczęśliwą to przynajmniej, mniej uczuwała swoje niedolę. — Kiedy ciężkie mrozy minęły, szlachcic udał się za wynalezieniem służby, myśląc że może znajdzie miejsce na ekonomą, lub pisarza —

biędna jego żona, czuła, pracowita matka, cieszyła się nadzieją, bo myślała sobie, że chociaż służba nie da dostatku, to przynajmniej jój dzieci nie będą łaknęły, tym czasem, uczuwała dobrodziejstwo cieplejszej pory roku, bo dzieci nie płakały na zimno, a kiedy był dzień cieplejszy wychodziły na wieś, grzały się na słońcu, bawily i nie tak często na nią jeść wołały.

Augustynek, który od niejakiego czasu stał się jój pomocnikiem, powiernikiem, doradcą, nie podzielał zabaw swego rodzeństwa; on już spoważniał, stał się myślącym, czułym, pracowitym i w dziecinnych jego rysach przeglądała niejaka dojrzałość — taka to jest władza myśli, że nietylko objawi się w czynach; ale nadto wypiętnuje na czole. — On już wyręcza matkę w wielu względach, bawi najmłodsze siostry, uczy młodszego brata, ostrzega ich i upomina. — Kiedy matka pracuje na wyżywienie dzieci, a potrzeba wymaga, aby rozniecila ogień na kominie

i skromny zgotowała posilek; on nie pozwala jej przerywać pracy, rozpala ogień, przynosi wodę, zastawia garnki i t. d.— Zgola, mały Augustynek jest piastunem najmłodszych siostr, nauczycielem brata, stróżem domu, kucharzem rodziny, doradcą matki, pociechą wszystkich.— Rozum jego rozwinięty jest nad lata, pilność i gorliwość w pracy, zamiłowanie porządku wzorowe, a szczerść i prawda największym może przymiotem.

Kiedy myśl Augustynka obudziła się widokiem leż matki, już nie pozostała nieczynną, już nie powróciła w uśpienie, — młoda jego głowa pracowała ustawicznie nad wynalezieniem środka pomożenia swojej rodzinie, — jak przyrzekł matce, poniszczył swoje zabawki, modlił się najszczerzej rano i wieczór, a niekiedy widzieć go było można, wśród dnia, szukającego próżnego kąta, aby mógł uklęknąć, pomodlić się, pomówić z niebem; — oprócz małych jego starań, które choć nie zmie-

nialy stanu rodziny, ale osładzały jej smutne przeznaczenie, nic więcej nie mógł uczynić, modlił się i prosił Boga, nie tak jak prosi wiele dzieci, a nawet i wielu dojrzałych, aby Bóg dał, to jest spuścił chleb, złoto i t. d.; ale błagał Pana zastępów o natchnienie, o powiedzenie mu co ma robić, co ma przedsięwziąć? — Choć mały był Augustynek, pojmował to dobrze, że prawdziwa łaska nieba wtedy jest tylko, gdy Bóg błogosławi naszej pracy.

Modlił się często, myślał ustawicznie i sen często przywiódł mu to przed oczy, coby pragnął ujrzeć był na jawie. — Kilkakroć chwycił ludzające mary, ale znikaly wraz z przebudzeniem. — Jednego dnia, raczej nocy miał sen, który go mocno zajął, który wszystkie jego opanował myśli. — Sniło mu się, że staruszek z siwą brodą, pochylony, siedział na zielonej murawie, pod drzewem pełnym owoców, że go zawołał do siebie i pytał czyim on synem, jak się nazywa? — Opowiedział Augustynek

we śnie wszystko staruszkowi, mówił wiele ma rodzeństwa, że rodzice są bardzo biedni, że nigdy nie przywykli prosić i że prędzejby z głodu pomarli nimby wyciągnęli rękę; to mówiąc płakał rzewnie, aż łza łzę pobijała. — Staruszek pogłaskał go po głowie, obiecał modlić się za niego i mówił, że w Warszawie u fary, jest cudowny Pan Jezus, że on nie jednego wysłuchał, że niejednemu pomógł; otóż, mówił staruszek do Augustynka: idź do Warszawy, módl się szczerze do Pana Jezusa, a zobaczysz że on ciebie wysłucha. — To rzekłszy staruszek zniknął, a chłopiec się przebudził i zaczął myśleć i spać nie mógł aż do dnia. — Ta myśl utkwiała mu w głowie, niepokoiła myśli, nie dała jeść, spocząć i sen odebrała.

I pewnego dnia rzekł matce:

— Matko, ja muszę iść do Warszawy! tam znajdę sposób do życia i wam może pomogę.

— Ty! dziecko, rzekła matka, ty do

Warszawy, czy oszalałeś chłopcze? a czy wiesz co to Warszawa?— to las w którym zabłądzisz — i do kogo i po co tam pójdziesz?...

— Do kogo?... moja matko, odrzekł Augustynek, ja wiem do kogo pójdę; a po co? to ci nawet i mówić nie potrzeba, panowie jadą do stolicy żeby się bawić, a ja stworzony do pracy.

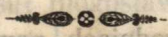
— Ale zginiesz w Warszawie.

— Nie zginę moja matko, wszakżem już nie dziecko, dopytam się o wszystko, a ludzie nie będą tak źli, żeby mi nie powiedzieli.

— Daj dokój moje dziecię twoim zamiarom, twoje myśli wierzaj mi, szalone.

— Słuchaj matko, ja nie pójdę do Warszawy szukać pomocy jakiego wielkiego Pana, jednego z tych co to wiele obiecują a dotrzymać nie lubią, ja pójdę prawda do największego Pana, ale do tego, który nikomu nic nie przyrzeka, a wszystkim daje, odpowiedział na to Augustynek.

Długo matka upierała się jeszcze; aż Augustynek musiał jęj powiedzieć to, co chciał ukryć przed wszystkiemi; opowiedział jęj swój sen, płakał, całował ją po nogach, aż matka czy przekonana, czy dla zaspokojenia uporu dziecka, odpowiedziała: dobrze, położyła jednak jeden warunek, że trzeba zaczekać na powrót ojca.



III.

Po dwu tygodniach powrócił szlachcic do ubogiej rodziny, powrócił smutny, aby zasmucić bardziej od siebie, biedną żonę, bo niedość że miejsca nie znalazł, ale nadto zasnął i na drugi dzień położył się w łóżko.

Dzień jeden słabości nie rokował nic złego; lecz drugiego dnia gorączka i bezprzytomność szlachcica, strwożyła całą jego rodzinę. — Biedny Augustynek całą noc



nie spał z matką, oboje gotowali ziółka, oboje przy chorym czuwali.

Trzeciego dnia powiększyła się słabość; a nie było za co przywołać lekarza, bo nawet nie było go blisko i kilka mil potrzeba było posełać. — Czwartego dnia szlachcic wyzionął ducha.

Biedny Augustynek aż się zanosił od płaczu, bo kochał ojca, nie dla tego żeby mu sprawiał piękne suknie, ale że był ojcem, a więcej jeszcze że był ojcem nieszczęśliwym. — Modlił się do Boga i powtarzał w myśli: Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest królestwo niebieskie i był pewnym, że Pan Wieczności nagrodzi doczesne cierpienia jego rodzica.

W tydzień po śmierci ojca, rzekł znowu do matki:

— Ja jestem matko tylko ciężarem dla ciebie, ja com powinien dziś być dla was opiekónem, zjadam tylko daremnie chleb, który z potém zarabiasz, i którego macie tak mało.

— I cóż zrobisz moje drogie dziecię?...!

— Co zrobię?... wszak mówiłem ci matko, że pójdę do Warszawy.

— I zawsze ta Warszawa!... chłopcze co ci się dzieje?

— Powiadam matko, ja muszę być w Warszawie i jeżeli.....

— Co jeżeli?...

— Jeżeli mi nie pozwolisz matko, to pójdę bez twojej wiedzy, ucieknę.

— Tego nie zrobisz Augustynku, rzekła boleśnie uśmiechając się matka.

— To też mi matko pozwolisz, odpowiedział chłopczyzna.

— Cóż z tobą mam robić?... może cię Bóg tam prowadzi.

— A więc pozwalasz najdroższa matko?

— Pozwalam, ale się boję.

— Bądź matko o mnie spokojna, teraz mam ojca w niebie, a on będzie za mną prosił Boga, bo przecież tak mię kochał za życia.

— A o czém pójdziesz moje dziecię? a

wiesz ty wiele mil, a wiesz ty którądy? myślisz że twoje nogi wystarczą!

— O wszystko się wypytałem i wszystko dobrze pamiętam, zresztą ludzie powiedzą; gdy będę miał dwa złote, to mi do Warszawy wystarczy, w drodze nie ustane, bom przecież nie dziecko i wszyscy powiadają żeś silny.

— I kiedyż iść myślisz?...

— Chociażby jutro.

Umilknął Augustek i matka nic nie rzekła; lecz on poszedł wyjął białą koszulę z kuferka, chustkę do nosa i sukienną kamiżelkę, a matka zamyślała się i nie wierzyła temu, aby co mówił mógł wykonać. Straszna to jest chwila rozdzielenia się matki z dziećciem, okropniejsza stokroć, kiedy los do tego przymusza; rozdierająca i nie do opisania, kiedy to dziecko rzuca się jakby rozbitek z potrzaskanego okrętu w morze, w którym pewniejsza, że utonie niż że dopłygnie brzegu. — Dla tego biedna szlachcianka nie wierzyła, aby to być mo-

gło, zdało się jęj niepodobnęm, aby rozłączyła się z dzieckiem; to znowu wyobrażała sobie, że oddała się od nięj, że tysiące niebezpieczeństw zagraża jego życiu i zdrowiu, że go więćej nie ujrzy, że już dla nięj stracony.

Wy wszystkie czule matki, co własną pierśią wykarmiliście synów, co własną myślą obwinęliście ich żywot, co w kwiecistych marzeniach stworzyliście im szczęście, podług waszych myśli wzniosłych, lub poziomych, co rokowałyście sobie, że ujrzycie ich wysokimi, pięknymi, ożenionymi, z pięknymi żonami, piękniejszemi jeszcze dziećmi, wy nawet, które szalone wymarzyliście im stopnie, ordery i godności, wy, nakoniec, któreście pragnęły aby na rękach dzieci zakończyć ziemską pielgrzymkę i być przysypanemi piaskiem ręką swych dzieci, a odwiedzanemi przez wnuki w cieniu wiejskiego smętarza, wy wszystkie pojmiacie boleść szlachcianki, jakięj doznawała na samą myśl, że swoje dziecię, ulubione dziecię, piękne w jęj oczach, najpiękniejsze

nawet, rozumne, dobre, ma oddać na łup niepewnemu losowi.

A jednak widziała koniecznym rozłączenie się z ulubionym dziecięciem, tém pewniej, gdy nazajutrz rano, Augustynek modlił się długo i rzewnie, gdy powstawszy ze łzą w oku, z widoczną boleścią w sercu, przybliżył się do matki, pocałował jej rękę i mówił:

— Czas moja matko puścić się w drogę, dobrze że parę mil dziś ujdę.

— I koniecznie chcesz iść mój synu?

— Muszę.

— Bądź przynajmniej ostrożnym.

To mówiąc matka powstała, wydobyła z kuferka małe pudełko, a z niego jakieś błyszczydło. — Były to kulczyki z czeskiemi kamieniami, jedyny zabytek lepszego powodzenia.

— Ołóż to wszystko, co mogę dać ci na drogę, sprzedaj to w pierwszym miasteczku, a żyj jak możesz oszczędnie, tego podobno uczyć cię nie potrzeba.

— Matko, niech to lepiej dla siostr zostanie, odrzekł Augustynek, ja mam złotówkę, którą mi dał ekonom za polinjowanie registrów, nie będę jadł, tylko bułkę na dzień, to mi do saméj Warszawy wystarczy.

— A może jaki wypadek, Augustynku, zmiluj się nie udęczaj mnie więcéj, weź te kulczyki — jak mię kochasz.

Trudno było odmówić takiemu zakłęciu, wziął kulczyki do kieszonki, zawiązał na siebie małe zawiniątko z koszulą, wziął kij do ręki, który sobie od dawna przygotował i upadłszy do nóg matki zawolał:

— Pobłogosław mię matko, idę pracować na ciebie i na te nieszczęśliwe sieroty.

Żywy potok łez trysnął z oczu nieszczęśliwéj matki, wzniosła zaplakane oczy ku niebu i składając rece na głowę chłopczyny zawołała:

— Boże litości! tobie oddaję sierotę, o-słoń go swoją opieką.

Potem uściskała ze łzami syna, ucało-

czasie, który jest epoką obecną sceny mojej prostej powieści, nie takim był gościniec publiczny, jakim go teraz widzimy, to jest nie był prostym, suchym, twardym, pośpiesznym, jednym wyrazem, nie był bitym, murowanym traktem, po którym się szybko z turkotem przesuwały publiczne pocztowe pojazdy, pięknie malowane i obronzowane karety i kocze, skromne bryczki i niezgrabne wieśniacze wozy; w owym czasie trakt, albo gościniec tysiąc razy był pokrzywiony i połamany; tam piasek, tam znowu błoto, tam sapy, utrudzały drogę, która w czasie wiosennego roztopu stawała się kilka dni prawie nie do przebycia, a mocno obciążone bryki i wozy narażały się na liczne uwięzienia i kilkudniową a nawet i dłuższą podróż. — W owym czasie, drogą około Falent przejeżdżał mój, jednokonny wózek, na którym jechał młody, obwinięty płaszczem mężczyzna, sam powożący, a przy nim siedziała kobieta, z obwiązaną chustką głową, z pod której

widać było białą rumianą twarz, dwoje pięknych, czarnych oczów, nad którymi w kształtne łuki zginały się dwie czarne brwie.

Mężczyzną owym był pisarz prowontowy z Falent, a tą kobietą jego małżonka, piękna i dobra, którą niedawno zaślubił. — Wiatr z śniegiem dął przeraźliwie, a chociaż pragnący wcześniej przybyć do domu pan pisarz, nieszczędził zwierzęcego zachęcenia, koń szedł noga za nogą, bo koła wzięły w błocie po piasty, i żadnym sposobem pospieszyć było niepodobna.

Mąż i żona jechali w milczeniu, bo młoda kobieta zatulała piękną twarzyczkę, a mężczyzna widząc zwątlone siły konia, przestał go bić i wolać, kieby odezwała się kobieta:

— Patrzaj mój mężu, jaki malec brnie po błocie, widać zziął i skostniał, bo ustawicznie rączyny zaciera, a nawet nie jest okryty jak przynależy.

— Biedny chłopiec, mówił jej mąż, ciekawym, z kąd i gdzie to idzie?

Gdy to mówił, wózek przesuwiał się około małego chłopca, ubranego w nędznym surduciku, mającego zawiniąteczko na plecach, i zaledwie wyciągającego nogi z błota, które w podarte bóty nalewało strumienie wody.

Czytelnicy w owym chłopczynie zapewne poznają naszego poczciwego Augustynka.

— Zatrzymaj się mój mężu, zawołała młoda kobieta, gdy wózek pomijał chłopczynę. — Trzeba go spytać, z kąd i gdzie idzie, a chociaż nasz koń zmęczony, niechajby odpoczął troszkę na wózku.

Mężczyzna zamiast odpowiedzi, zatrzymał konia i zawołał:

— Chłopcze, gdzie to idziesz? widać zziąbłeś i zmęczyłeś się, bo ledwie nogi wyciągasz.

— Jaki biedny chłopiec! rzekła kobieta.

— Idę panie do Warszawy, odpowie-

dział przystając Augustynck i uchylając czapki.

— A z kąd jesteś? zapytała go żona pisarza.

— Oh! ja bardzo z daleka.

— Z kądże przecie? rzekł pisarz.

— Aż z pod Skalmierza.

— A gdzie ten Skalmierz? pyta pisarzowa.

— W Krakowskiem, za Kielcami jeszcze.

— Któż cię tak wysłał z daleka?..

— Mnie nikt nie wysłał, ja sam poszedłem.

— Jakto, uciekłeś z domu? zapytał pisarz.

— Bynajmniej — matka mi pozwoliła iść do Warszawy.

— No siadaj chłopcze — na wózku nam resztę opowiesz; żono, obtul go salopą — zmarzł, aż drży cały.

Usiadł chłopiec na wózek, żona pisarza otuliła go, pan pisarz ruszył, i po niedłu-

gięj chwili, bo droga była lepsza i koń chętniej szedł do domu, stanęli w Falentach.

— No dalej chłopcze, zawołał pisarz, gdy wózek stanął przed jego skromnym mieszkaniem, wsiądź, wejdź do stancy, ogrzej się nieco; musisz być głodny, to się pożywisz, a nawet jeśli chcesz, możesz i przenocować, bo zapewne nogi cię bolą, i nie zajdziesz dziś do Warszawy.

— Pozwól mi mój mężu, rzekła wysiadając pani pisarzowa, mieć o tym sierocie staranie.

W ciepłym mieszkaniu przyszedł nieco do siebie Augustynek; pani pisarzowa dała mu naprzód chleba z masłem, potem zasadziła do stołu, aby razem z nimi posilił się, a widząc go zmęczonym, kazała posłać wygodnie, i chociaż było wcześnie, mówiła aby się położył.

Pani pisarzowa w wybornym dzisiaj była humorze, coś wewnątrz cieszyło ją, że ile mogła pomogła sierocie, pan pisarz pytał go kilka razy, czy mu się jeść nie chce

i czy mu dobrze posłano — idąc zaś spać oboje chcieli zobaczyć biednego chłopca, może jeszcze o co zapytać; lecz spał jak zabity.

Nazajutrz rano, pan pisarz wstawszy przed wschodem słońca, pierwszy krok zrobił zobaczyć czy spi jeszcze Augustynek, potem wyjeżdżając na służbę zalecił żonie, aby mu dobrze przyrządziła śniadanie i co może dała na drogę. — Zakończając swoje zlecenie dodał: Pan Bóg nam to nagrodzi.

Dzień był pogodny i słońce wzniosło się już wysoko, a Augustynek spał jeszcze; spał on snem twardym, posilnym, snem pracy i trudu; pisarzowa po kilkakroć chciała go obudzić, bo śniadanie od dawna stało dla niego przygotowane, lecz ilekroć zbliżyła się do chłopca, jakaś litość ją brała, aby przerwać sen tak miły, tak wzmacniający, tak może mu potrzebny na przyszłe trudy i niewygody.

Dopiero około jedenastej godziny ocknął

się chłopiec, zerwał równemi nogami, zaczął ubierać, a pisarzowa widziała ze łzami, że nogi jego były poodparzane i pokaleczone.

— Augustynku, mówiła łagodnie, jeżeli ci nie pilno, pozostań jeszcze dzisiaj, jutro, tydzień nawet.

— Dziękuję pani za dobroć, odrzekł chłopczyzna, ale nie mogę pozostać dłużej, mnie do Warszawy tak pilno.

— Pilno!.. powtórzyła pisarzowa i rozesiąla się w duszy.

Posilony Augustynek, ucałował ręce dobrej kobiety, ona wzajem pocałowała go w głowę, a gdy wychodził dała nową złotówkę, której on przyjąć niechciał, mówiąc że do Warszawy niedaleko, i nie będzie potrzebował.

Biedny chłopiec, on myślał że gdy się w Warszawie pokaże, wszystko i wszystko mieć będzie. — Wiara jego była mu tarczą nie tylko przeciwko niebezpieczeństwom; ale nawet przeciwko ciała potrzebom.

Mrok zapadł, gdy Augustynek przeszedł roгатki.

Szedł z wolna, patrzył na wszystkie strony, przystawał i wszystko go dziwiło — wielkie mury, ozdobne, mnóstwo ludzi snujących się tam i ówdzie, rozliczne stroje, mnogie pojazdy zatrzymywały go co chwila. — Gdy wszedł na drugą ulicę, już zapalano latarnie — tu sklepy jasno oświetlone, pełne rozmaitych towarów, szklących cacek, tam wesola muzyka, tam taniec, tam pięknie ubrana pani, tam pijanica, tam oszust, tam liczne koło ciekawych, porywały uwagę biednego chłopca, który nie wiedział gdzie jest i co ma począć — huk, śpiew, muzyka, taniec, wrzawa, wszystko to, odebrało mu przytomność, rozerwało myśli, zaczarowało. — Szedł i szedł bez końca, a chociaż go nogi bolały, nie myślał spocząć.

Wreszcie i miasto poczęło być coraz mniej ludne, coraz mniej głośne i huczące: po chwili, gdzie niegdzie widzieć można

było idącego spiesznie mężczyznę, osłoniętego płaszczem i nucącego piosnkę; gdzieś niegdzie przesuwała się bojaźliwym krokiem kobieta, kiedy niekiedy przejechał pojazd lub dorożka; w końcu wszystko ucichło, światła w domach poczęły być coraz rzadsze, coraz bledsze, wreszcie domy ogarnęła ciemność i miasto zasnęło — nie całe jednak, bo miasto wielkie całe nigdy nie uśnie, tyle w niem jest różnorodnych ludzi, różnymi żyjących środkami, tyle rozmaitych żywiołów, że gdy jeden usypia, drugi się budzić poczyna.

Augustynek mimo późnej godziny jeszcze pozostał na ulicy, szedł coraz wolniejszym krokiem, bo sił już mu niestało i zaczął myśleć, to o tém, co widział przed chwilą, i co jak mara zniknęło, to o matce, to o rodzeństwie, to o sobie, to o pocziwój pisarzowej i o jój małżonku. — I przystanął na chwilę, i spojrzął koło siebie.

Gdzież jestem! wszak to Warszawa, cel moich myśli — co tu ludzi, jakie piękne

domy! ale ja nie znam nikogo, wszyscy tu obcy; dobrze matka mówiła, że Warszawa to czysty las. Gdzież ja się obrócę, gdzie przenocuję?.. A Pan Jezus?.. tak, wszedłem w wielkie miasto i zapomniałem o wszystkim, trzeba mi się spytać jakiego poczciwego człowieka o tego cudownego Pana Jezusa, o którym tyle mi mówił staruszek.

I cały sen stanął mu znowu przed oczami, wyobraźnia odmalowała mu wszystko jak na jawie, zapomniał znowu o wszystkim, i tylko widział przed sobą Boga człowieka, na krzyżu, do którego się miał modlić, któremu tyle miał powiedzieć i którego miał go wysłuchać — myślał tylko gdzieby go miał znaleźć.

Właśnie przechodził człowiek w burj sukmanie, z latarnią w ręku, jeden może z tych ludzi, których nędza spodlila, którzy żyjąc bez celu zapomnieli o sobie, zdrętwieli nieszczęściem, i dzisiaj żyjąc z dnia na dzień, odurzeni wódką i wstydem,

w dzień oczu podnieść nie śmieją, a w nocy wychodzą na niepewny zarobek poświęcenia komu lub ukrzywdzenia kogo.

Jednego to z takich zapytał Augustynek:

— Dobry człowiecze, powiedz mi gdzie jest w Warszawie cudowny Pan Jezus?

— Toś widać nie tutejsze moje dziecko, odrzekł mu człowiek, pójdź za mną ja cię zaprowadzę przed kościół, gdzie jest ten cudowny Pan Jezus, tamtędy idę do domu.

— Niech ci to Bóg nagrodzi dobry człowieku, odpowiedział chłopczyzna i szedł w milczeniu za swoim przewodnikiem.

Gdy weszli z placu, na którym stoi posąg w wąską i ciemną ulicę, człowiek z latarnią rzekł chłopcu.

— Oto kościół, gdzie jest cudowny Pan Jezus, o piątej godzinie rano pierwsza msza wyjdzie.

Zatrzymał się Augustynek, spojrzał w górę na gmach wysoki i zapomniał nawet podziękować człowiekowi, który go

tutaj przyprowadził, a który już odszedł daleko.

Pozostawszy przed kościołem w nocy, sam jeden, długo spoglądał po murach, które księżyc oświecał, i po wieżach, na których lśniły się zlociste banie, później ukląkł przeddrzwiami świątyni, złożył ręce nabożnie i zaczął się modlić do cudownego Pana Jezusa, którego wizerunek tworzyła jego własna wyobraźnia. — Wśród modlitw, przesuwaly się przed nim obrazy kwieciste, lśniące, jasne i pełne uroku, w każdym mięszalo się wspomnienie matki, siostry, brata lub ojca — przy każdym ich imieniu zasała westchnienia, a te ulatały w niebiosy.

Wkrótce kolana zdrętwiały biednemu chłopczynie, usiadł więc, podparł głowę na dłoni, szeptał jakieś wyrazy i wzdychał jeszcze — po chwili zamknął powieki, skulił się i zasnął.

Słodki sen i na twardym kamieniu, na mrozie i wietrze — słodki, przyjemny i po-

krzepiający, kiedy go sprowadza praca i utrudzenie; twardy i spokojny gdy go nie przerywa bojaźń, trwoga albo wyrzuty sumienia — nie jeden może przechodząc koło drzwi kościoła spojrzeć z wstrętem na zwinięty żyjący kłębek i dziwilby się zapewne, że ten kłębek jest w tej chwili nieporuszonym, nieczułym, uspionym — że go nieprzebudza, ani twardość kamienia, ani chłodny powiew mroźnego wiatru, ani bojaźń aby go kto nie okradł; a jednak nie jeden powróciwszy do domu, do wspańiałych mieszkań, pełnych blasku, złoconych sprzętów, przedmiotów wygody i zbytku; nie jeden rzuciwszy się na miękkie materace lub miększe puchowe posłanie, gdy z północną godziną zaczął wychodzić duchy wspomnień, wszystkie czarne, ponure, trwożne, każde ze mściwym okiem i kiedy daremnie tuli się do poduszek, odwraca do ściany, aby odpędzić duchy i zasnąć, a zasnąć żadną miarą nie może i męczy się i boi; nie jeden taki, oddałby

może i swoje złocone fraszki i wygodne posłanie, które okupił łzami biedaków, oddałby wszystko, rzekłby się wszystkiego za jedną godzinę snu sprawiedliwego człowieka, lub niewinnego dziecięcia.

Nie jeden, coby nie snem spoczynku, ale snem wiecznym chciał zasnąć, gdy Bóg karząc większe nad prawa ludzkie nieprawości, żyć mukaże, spoglądać wprzeszłość i drzeć nad przyszłością; nie jeden taki, gdy go trwoży stuknięcie, loskot lub hałas, albo gdy go męczy astma że codzien kona i skonać nie może, nie jeden taki za największe dobrodziejstwo przyjąłby nędzę chłopczyzny spiącego pod kościołem, byle zasnął snem jemu podobnym.

Uderzyła piąta godzina, z nią otwarły się podwoje świątyni, dzwon przerwał poranną ciszę miasta, a zarazem i słodki sen Augustynka.

dźwiękami i wozami i inożnej piosenki i inożnej
 instrumentów; znają go wtedy, gdy się
 przebiegnie licznym ludem różnego stanu,
 pięci i wieki — znają go wtedy, gdy prze-
 sięgłi miastem, jego życiem, powieścią,
 obłąd i lalszem, wchodzą do swiatym
 pański, nie dla modlitwy, nie dla rozmowy
 duszy z Bogiem, nie dla zadowolania za nie-
 prawości; ale wchodzi dla zwycięstwa, dla
 przejęcia stroju i czesto odwiezionych
 twarzą — weszli bez myśli nabożnej,
 bez usposobienia ducha, weszli z próż-

Gi z moich czytelników, którzy się urodzi-
 li, wychowali, lub zamieszkali w Warsza-
 wie, znają bez wątpienia kościół katedral-
 ny S. Jana — wiedzą nawet wiele wewnątrz
 niego jest kolumn, jakich kolorów i deseni
 ma szyby w oknach, jaką ma posadzkę,
 jakie obrazy; nie jeden może mogąc za-
 władnąć pędzlem, lub olówkiem, gotów
 skreślić jego wizerunek, podobny obrazowi
 utalentowanego Zalewskiego; lecz znają
 go wtedy, kiedy grzmia głośnie organy,

wtorząc pieśni nabożnej głosów i innych instrumentów; znają go w tedy, gdy się przepelnia licznym ludem różnego stanu, płci i wieku — znają go wtedy, gdy prześlikli miastem, jego życiem, powietrzem, obłudą i fałszem, wchodzą do świątyni pańskiej, nie dla modlitwy, nie dla rozmowy duszy z Bogiem, nie dla żałowania za nieprawości; ale wchodzą dla zwyczaju, dla przejrzenia strojów i często odświeżonych twarzączek — weszli bez myśli nabożnej, bez usposobienia ducha, weszli z próżnością światową i powracają z nią na powrót próżni, znudzeni niepocieszeni, z czczem sercem i tęszną duszą. — Nic z świątyni wynieść nie mogli, bo nic do niej nie wnieśli. Znają oni jego ciało, duszy poznać nie chcieli; a jednak ta dusza zdolna rozświecić ciemne i błędne drogi, przynieść utracone siły, zgoła, pojednać z Bogiem i szczęściem człeka obdarzyć.

01 Nie znają go oni w chwili ciszy, w chwili zebrania ducha; nie znają w rannej godzi-

nie, w której człowiek ockniony, jakby świeży, nieskalany nieczystymi myślami, ani świeżo dopiero popełnioną nieprawością; nie znają w chwili, w której nie zetknął się jeszcze z miastem, nie obwionął siebie jego nieczystym wyziewem, i nie zawałał jego błotem; nie znają go w chwili, kiedy jeszcze ciemno i całe miasto prawie spi mocno, a dzwonek nabożny odzywa się swobodnie, głośno, ku niebu, że nie głuszy go gwar miasta i brzęk metalu, dla którego i za który wszystko miasto poświęca— nie znają go, w chwili owej woni modlitwy, w chwili zstąpienia promienia łaski, w chwili, nim ludzie aż do stopni ołtarzy rozsieją zarazę swego oddechu i dymem nieczystego tchnienia tak zaciemnią obrazy, że te pobledną, utracą barwy, i woń ich zetrą— nie znają oni kościoła w chwili, gdy kapłan cichą, wpółgłosną ofiarą błaga Pana zastępów, nie pojmują jego wielkości, gdy ten sam kapłan, nie liczny; nie świetny lud napomina głosem Zbawiciela do wytrwa-

nia na drodze cnoty i polecenia ziemskich doczesności Panu zastępów; nie słyszeli oni tej modlitwy, którą w tej godzinie codziennie kapłan głośno odczytuje, a lud chrapliwym, chorowitym, żalonym powtarza głosem.

Bo tylko w ranniej godzinie kościół ma tę uroczą, niewymowną chwilę; a w ranniej godzinie sen tak przyjemny, tak słodkie mogą być marzenia i kościół aż do pierwszej otwarty. — O tej godzinie tylko wyrobnicy, ta biedna klasa ludności się modli; dla nas głośne huczące, świetne godziny — ale w owe jasne i głośne godziny już pierzchła woń modlitwy, już ubożsi zabrali z sobą, już nas uprzedzili biedacy. — Przynajmniej w tém od nas szczęśliwsi.

Nam blask i swietność i zbytek i czczość za nim, a później dla nas ohyda, sromota i przekleństwa; dla nich praca i głód i modlitwa, a później zapomnienie.

W takiej to uroczystej chwili, chwili natchnienia, modlitwy, rozmowy duszy

z Bogiem wszedł pierwszy do świątyni
przebudzony niedawno Augustynek.— Wy-
niosłe mury, ciemność rozlana w okolo,
tylko w bocznej kaplicy gorejąca lampa
niewymowne w chłopczynie sprawiły
uczucia; wzniosł oczy w górę i zadrzał, to
wszystko dla niego tak wielkie; tak niepo-
jęte — stanął i w niemém milczeniu wznosił
się myślami ku niebu.

Gdzież ów cudowny Pan Jezus? pomyślał
sobie i postępował wolno, krok za krokiem
na palcach, z uszanowaniem i lękał się
obudzić echa uspionego w obszernych
murach.

Promień lampy wiódł jego kroki, szedł
więc i stanął przed kaplicą — kaplica ciem-
na, zdaje się nawet zwilgotniała, bo prze-
siała żalem grzeszników; oltarz skromny
błyszczący licznymi blaszkami które nabo-
żni pozawieszali, bo wyobrażnia ludzka
tak jest przesiąkła ziemią, że nawet Bo-
gu na ofiarę, najbrudniejszą jej część
przynosi — pomiędzy niemi zawieszony

Bóg człowiek, na krzyżu, w cierniowej koronie, którą bogactwo przystroiło diamentami — wszystko głębokie, niepojęte zrobiło wrażenie na chłopczynie, wszystko dla niego było cudownem, tajemniczem, rzewnem i tylko zdawało mu się że wizerunek Pana Jezusa jest mu znajomym, że go gdzieś widział, że zna tę świętość — odetchnął, zdawało mu się, że kamień ciężki spadł z jego piersi, pierś podniosła się w górę swobodnie, lekko, jak wznosi się pierś matki, gdy widzi przybijającego syna do brzegu, na którym widziała, jak go miotały bałwany.

Uczucia rzewne, rozlane w nim całym, któremi były przepelnione i serce i dusza, potrzebowały wypłynąć z głębi, wylać się na świat; ukląkł więc, wznosił oczy w niebo, w Pana Jezusa raczej, bo on był jeden, na tem miejscu jemu znajomy, i zaczął modlitwę, nie z książki, nie z cudzych myśli złożoną, nie naśladowaną, ale własną, z serca, z duszy wylaną — Da-

wno może Pan Zastępów, w przybytku tym, swęj chwale poświęconym równie czystego nie otrzymał od swych sług kadzi dła, jak w owęj chwili.

Długo pozostał w tym stanie Augustynek, gdy na oltarzu zajaśniały dwie świece, ozwał się dzwonek i wyszedł ksiądz ze mszą — obejrzał się pierwszy raz chłopczyna, kaplica była pełna, wszyscy nabożni, nikt nie przyszedł dla zwyczajaju, nikt z ciekawości, wszyscy dla modlitwy, dla chwały Boga — Wszyscy modlili się, jedni, z książki, inni z myśli, ci stali, ci klęczeli, a było kilka osób, którzy leżeli krzyżem.

Augustynek pomyślał sobie, że ten sposób oddania holdu Jezusowi był najwłaściwszym i w tęg chwili upadł na ziemię, a chociaż posadzka marmurowa, zimna i wilgotna dreszczem go przejmowała, tak całą mszą i modlitwy kapłana wysłuchał.

Ostatni prawie wyszedł Augustynek z kościoła; dzień zaczął się rozwidniać

i miasto ożywiać — Szedł wolno, patrzył w koło i był tak spokojnym i szczęśliwym, jakby mu nie brakowało; a chociaż ostatecznie trzy grosze wczoraj wydał, nie troszczył się bynajmniej, bo ufał Panu Jezusowi i myślał że on o nim nie zapomni.

Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, miły głos mężczyzny zawołał na niego:

— A gdzie to idziesz mój mały?...

Obejrzał się i ujrzał wysokiego mężczyznę, nie młodego prawda, ale szlachetnego oblicza i zachęcającego spojrzenia.

— Ja nie wiem panie gdzie idę — przyszedłem wczoraj w wieczór do Warszawy, żeby się pomodlić do Pana Jezusa cudownego, tam oto w tamtym kościele, żeby mi dał sposób zapracowania na siebie i matkę.

— Widziałem jakś się modlił, mówił wysoki mężczyzna, toż właśnie zwróciło moją uwagę, i dla tego byłem ciekawy dowiedzieć się kto jesteś.

— Jestem panie sierota, mam biedną

matkę, trzy siostry i brata, a wszyscy są bardzo biedni.

— I przyszedłeś do Warszawy żeby znaleźć kawałek chleba?

— Żeby pracować panie — odpowiedzia, śmiało chłopczyzna.

— I cóż myślisz robić, gdzie się udasz — czy masz kogo tutaj znajomego?

— Nie wiem panie gdzie się mam udać, odpowiedział Augustynek, nikogo nie znam w Warszawie, ale myślę że Pan Jezus nie zapomni o sierocie.

— Masz słusność moje dziecię, musisz być dobrych rodziców — a jakże się tu dostałeś?..

— Przyszedłem piechotą.

— To musi być nie daleko?

— Oh! bardzo daleko — dziesięć dni szedłem.

— A gdzie dziś spałeś?...

— Tu pod kościołem, przy Panu Jezusie.

— Tak, jak jesteś! nieokryty?...

— Jak jestem, nic więcej niema.

— A masz żyć za co?...

— Nie mam już i grosza, matka dała mi na drogę swoje kolczyki, sprzedałem je żydowi; ale mi dał bardzo mało, i wszystko już przejadłem.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, mówił do siebie ów Jegomość, który zachepił Augustynka, to sama dobroć, to będzie wyborny chłopiec — a później dodał: możebyś był u mnie, ja mam sklep korzenny i winny, za kilka lat możesz zostać człowiekiem, możesz być pomocnym matce; jeżeli będziesz dobrym, pracowitym, rzetelnym, to Bóg ci będzie szczęścił, i ja z duszy pomogę; bo u nas w handlu tylko pracy i rzetelności potrzeba.

— Panie! zawołał chłopiec padając do nóg kupca, ja będę tobie wiernie i pracowicie służył, będę pilnował twego majątku więcej jakby był moim.

— A więc pójdź do mnie.

Poszedł Augustynek za swoim nowym panem, został chłopcem w jego sklepie,

pracował pilnie, służył wiernie, modlił się do Pana Jezusa, i żył tylko wspomnieniem matki i swego rodzeństwa.

We trzy dni po wynalezieniu miejsca, prosił kupca o pozwolenie napisania do matki, doniósł jej o swoim szczęściu, a biedna kobieta nie posiadała się z radości, że jej dziecię doszło do Warszawy szczęśliwie, znalazło sposób do życia, miłość swojego pana, i może kiedyś będzie pomocą dla całego rodzeństwa.

Po czterech latach ciężkiej pracy, jaką uczeń sklepowy, pilny i wierny musi ponosić, na którą tyle narzeka, i którą przebyć nie wielu znajduje siły, Augustynek został subjektem sklepowym. Obznajmiony z handlem, z jedyną myślą o pracy i matce, kierował interesami swojego pana, w kilka lat, objął nawet sklep ponim, i nad sklepem zawieszono jego nazwisko.

Wielka to była pociecha dla matki, widzieć jak jej dziecię pracuje, i jak jego pracy Bóg błogosławi — odżyła ona nowo,

bo był jój stał się dostatnim, wychowanie rodzeństwa nie troszczyło jój głowy, i na starość widziała, że znajdzie przytułek nie w obcym domu, ale u syna, u siebie.

Wzrastał handel Augustyna, rosła jego wiara i kredyt się powiększał. Sklep na Krakowskiem przedmieściu, w którym zaczął swój zawód, zaczął się wsławiać, bydź głośnym, znanym nie tylko w całej Warszawie, ale nadto w całym Królestwie, w znaczniejszych handlowych miastach, i prawie u wszystkich domów handlowych w Europie.

Po kilkunastu latach pracy, majątek Augustynka wzrósł tak znacznie, że mimo rozległego, hurtowego handlu, kupił jeszcze Falenty, te same Falenty, w których idąc do Warszawy przeziębły, głodny, bosy, znalazł gościnność w domu pisarza i spał snem mocnym, spokojnym.

Szczęśliwy, tyle, ile nim człowiek pracowity, cnotliwy, czuły i dobroczynny bydź może, Augustyn nie miał nic do życzenia,

tylko żeby wynaleść pisarza i jego żonę, którzy go głodnego nakarmili, zziębłego ogrzali, utrudzonego zasilili ciepłym i miękkiem posłaniem.

Daremnie jednak dowiadywał się Augustyn o osobach, które zawsze ze wzruszeniem wspominał, daremnie dopytywał się o nich, gdzie się podzieli z Falent, gdzie są, czy żyją, jak im się powodzi? — niewiedział ich nazwiska, i poszukiwania jego zostały bezskuteczne.

Zapomniał wreszcie o nich, bo chociaż miał wdzięczne i czule serce, był człowiekiem, a ludzie z czasem, ze zmianą okoliczności, zapominają o znajomych, przyjaciółach, krewnych; niekiedy nawet rodziców, którzy go wychowali, którym wszystko winien, jakby przez pomrokę, jakby przez sen stawają przed niewdzięczną pamięcią.



VI.

Któż nie zna z mieszkających w Warszawie, sklepu, niskiego, niepozornego, nędznego nawet na pozór?—Sklep ten położony przy ulicy Krakowskie Przedmieście, nie ma ozdobnych, złożonych znaków, sztucznych kolorowych napisów, jasnych i wielkich okien, za którymi zwykle wystawiają najcelniejsze towary, świecideła, cacka, ozdoby — przedmioty, więcej zbytku niż potrzeby. — Sklep ten, nie odnawia się co rocznie, i w nowe nie przystraja szaty, jak przekwitła kobieta, która uciekłą młodość i prze-

kwitłe serce chciałaby różem i blanszem
osłonić i której wszystko nie do smaku,
wszystko nie zdolne zastąpić utraconych
skarbów:— Sklep ten, w niczém się nie
zmienił od lat trzydziestu kilku, takim jest,
jakim był za poprzedniego właściciela, ja-
kim był w latach młodości terażniejszego
posiadacza, jakim był dawno, jakim był
przed dziesięcioma, przed pięcioma laty,
jakim będzie, póki życia jego właścicielo-
wi stanie, nim go spadkobiercy, albo zam-
kną i wyprzedadzą, albo wystroją, ozdobią
przemienią.— Sklep nie pozorny, niski, bru-
dny, szczupły, bez ozdób i świetności, zu-
pełnie sympatyzuje ze swoim właścicie-
lem.— Nie wiedząc jego renomy, nie zna-
jąc jego kredytu, łatwo go pominiesz, nie
zwrócisz na niego oka, nawet wiedząc że
to jest pierwszy handel w Warszawie, a nie
znając go, chociaż go znajdziesz, nie wej-
dziesz doń, nie uwierzysz, aby to był ten
sam, sklep zamożny, hurtowny, prowadzą-
cy handel z całym królestwem, zapytasz

jedną i drugą osobę i dopiero przekonany pójdziesz i kupisz co ci potrzeba. — Wnętrze sklepu zupełnie znajdujesz odpowiednim jego powierzchowności; ciemny, zapyłony, ciasny, zawałony towarami rozlicznego rodzaju, ustawionymi bez najmniejszego porządku; mógłbyś nawet zobaczyć liczne siatki pajęczyny, porozwieszane tu i owdzie.

W sklepie napotkasz za kassą, mężczyznę wysokiego, szczupłego, przypruszonego już siwizną, z małemi faworytami i zwykle nie ogoloną twarzą — ubrany on jest zwyczajnie w surdut z grubego, sieraczkowego sukna, często nawet już wytarty i popękany — ręce jego twarde, zgrubiałe, czarne, oczy przenikliwe, czytające. — Jest to sam właściciel sklepu. — Jest to Augustyn, jeżeli chcecie, ten sam Augustynek noszący drzewo naramionach dla ogrzania rodziny, ten sam Augustynek, który szedł piechotą, prawie boso i z zębły do Warszawy, ten sam którego ogrzała i nakarmiła pisarzowa, ten

sam, który pierwszą noc po przybyciu do Warszawy, spał przed drzwiami kościoła S. Jana, który modlił się z ufnością, z wylaniem duszy do cudownego Pana Jezusa, ten sam, który poszedł na chłopca do sklepu kupca, który go widział tak rzewnie modlącego się w kościele.

Sądząc z powierzchowności, rzekłbyś że i dzisiaj Augustyn nie jest dostatnim, ubogim nawet, że krwawo pracuje na utrzymanie życia, że musi nie mieć odbytu, że mu Pan Bóg nieszczęści—kto wie, może wziąłbyś go za biednego subiekta, może nawet posądziłbyś go o złe prowadzenie, że lubi tronek i mimo pobieranej pensji u kupca, nie może sprawić przyzwoitej odzieży. — Dzisiaj, gdy oko publiczności przywykło widzieć ustrojony sklep w świecidła, jak pannę zalotną na bal, w sklepie napotkać strojnych subiektów, uśmiechających się, wdzięczących do przybywających kobiet, umizgających do służących, z wielkimi zawiniętymi w pukle włosami, z łańcucha-

mi złotemi od zegarków, z pierścionkami na palcach i w lekkich zgrabnych prunelowych bóciakach, dzisiaj mówię, snadno ci przebaczyć mój czytelniku wszelkie domysły, jakie mógłbyś powziąć o sklepie Augustyna.

Gdy chwilę zabawisz w sklepie, a ujrzysz sklep pełnym, często niemogącym pomieścić kupujących, gdy widzisz ciągly ustawiczny odbyt, nie drobiazgowy, nie znaczący; ale w wielkich partjach i znaczny, ujrzysz jak ten człowiek wysoki i chudy otworzy kasę, a w niej pełno biletów, srebra, złota, gdy wyjmie dla zdania reszty, jeden i drugi worek płócienny, musisz zmienić swe wyobrażenie o sklepie; gdy kilku chłopców, młodych, rumianych, pełnych ruchu, ubranych jak ów wysoki mężczyzna, w sieraczkowych, zawalanych, wytartych surdutach, z różnicą tylko że osłonięci fartuchami skurzanemi, mówią do niego z pełnem uszanowaniem, czekają jego skinienia i wykonywają spieszenie jego

rozkazy; gdy dowiesz się, że ten wysoki chudy mężczyzna, jest sam kupcem, mającym tak pełny handel, tak wielki odbyt, zmienisz znowu swoje wyobrażenie i wpadając z jednej ostateczności w drugą, przedstawisz sobie, żeś w nim napotkał obraz skąpca, którego z takim talentem genialny utworzył Moliere.

Gdy wyjdiesz na miasto, zapytasz bliżej znających sklep pod niedzwiadkiem i dowiesz się, że ten człowiek tak ubogo ubrany, tak ciężko pracujący, tak zawsze obecny w sklepie, jest bogatym kupcem, pierwszym w Warszawie, prowadzącym handel hurtowny, z całym królestwem, utrzymującym swoim kredytem wielu i bardzo wielu kupców, mającym liczne kapitały, śliczne dobra, ozdobne nawet pojazdy i piękne konie; gdy ci powiedzą, że ten człowiek żyje jak najskromniej, jada często z garnuszką w sklepie, zbiera ziarna upadłe na ziemię pieprzu lub kawy, pilnuje uczniów aby nie niszczyli, żałuje

kilkuset złotych na odczyszczenie lub odnowienie sklepu, nazwiesz go pewno, nie skąpcem już, ale sknerą, obmierzłym człowiekiem.

A gdy dalej posłuchasz i mówić ci zacząną, że ten człowiek, tak oszczędny, tak skąpy uratował tego i tego kupca od bankructwa, że zapomógł ubogę wdowę, pomógł temu i temu biednemu młodemu człowiekowi, że w czasie kwesty wielkanocnej, rzucił rulon studukatowy na tacę, że tyle i tyle zrobił dobrego, zamyslisz się i powiesz, to nie pojęty człowiek i daremnie będziesz badał przyczyn jego postępowania, daremnie śledził jego filozofję; zginiesz w samych domysłach.

I ja byłem jednym z takich ciekawców, badałem jego fizyologją okiem natrętném i nic odgadnąć nie mogłem.

Niezrażony niepowodzeniem, starałem się o środki poznania go. — Były one prawda proste i naturalne, ale nie mało kosztowały pracy. Augustyn żył sam w sobie, mówił

bardzo nie wiele, i wiele było potrzeba, aby zyskać jego zaufanie, wczém tém bardziej musiałem być ostrożny, że mało go znając lękałem się, aby go nie zrazić myślą, że potrzebuję pieniędzy i że ich albo pożyczyc, albo wyludzić będę się starał.

Bardzo rozsądne musiało być moje z nim postępowanie, powolne i bez interesowne; wielekroć musiałem jego sklep odwiedzić; choć nie ze smakiem kazać dać kieliszek wina, pić go w sklepie i powoli, niekiedy słowo przemówić, odezwać się, niekiedy nawet odejść bez usłyszenia jego odpowiedzi.

Czas zbliżył go do mnie, przyzwyczał się przez rok cały widywać mnie u siebie i kiedy którego dnia nie byłem, już zapytywał o przyczynę.

Coraz mówiliśmy więcej, coraz byliśmy znajomsi — jak złodziej wykradałem mu myśli jego, rozbierałem z jego zimnej powierzchowności, odsłaniałem zasłony jego życia i udało mi się na koniec; pojąłem go,

zrozumiałem, okradłem — ale nie z pieniędzy, ale z myśli jego całego żywota — on teraz na sądzie Boga, odbiera nagrodę cnót swoich, i wiem że mi przebaczy, że jego życiem bawię publiczność, bo jego życie jest nauką, jest moralnością, jest filozofją praktyczną; a może znajdą się czytelnicy że nie samęj zabawy szukać zechcą w mojej powieści.

VII.

Pewnego dnia, a było to przed Wielką nocą, kiedy sklepy korzenne i winne największą miewają czynność, w godzinie przedpołudniowej wszedłem do sklepu pana Augustyna, którego już tak w dalszym ciągu będę nazywał, i zastałem go jak zwykle, za kassą, w swoim grubym, wytartym, sieraczkowym surducie; lecz tym razem mimo że wiele było kupujących nie stał, nie ważył, nie zawijał, nie sprzedawał; ale siedział i oparł głowę na dłoni.

Na twarzy jego malowało się cierpienie, które szanując zaledwie odważyłem się powitać go; — odpowiedział nań grzeczniej niż kiedykolwiek, a ja ośmielony dodałem:

— Widać Pan jesteś cierpiący, zdaje się masz głos zmieniony i bardzo jesteś blady.

— Głowa mnie tylko boli, odrzekł spokojnie; zwyczajna to moja słabość, która mimo że mię zupełnie zmienia, z łaski Boga wkrótce przemija.

— Czyby nie lepiej było spocząć? odważyłem się powiedzieć.

— Oh! nie mój Panie, to więcej mogłoby mi zaszkodzić; naprzód że ciało spoczynkiem gnuśnieje, a potem nie mógłbym być spokojnym, myśląc co w sklepie dzieje się bezemnie.

— Bo też Pan tak ciężko pracujesz, odrzekłem z pewnym wyrazem — a po chwili dodałem; jednak nie potrzebujesz pan tyle pracować, mógłbyś już spocząć.

— To jest, mógłbyś umierać, chciałeś Pan zapewne powiedzieć.

— Boże uchwaj, odrzekłem; owszem pragnę abyś Pan był zdrow i żył jak najdłużej.

— Ale to niepodobna mój Panie, odrzekł kupiec; według mojego zdania, spoczynek i śmierć to jedno, ruch, działalność, to życie. — Bóg tylko może znać spoczynek, człowieka udziałem pracować, pracować zawsze, bez końca, z tą tylko zmianą, że w młodości, kiedy ma siły odpowiednie inaczej, w starości znowu inaczej. — Czy pan widziałeś co w naturze, żeby żyło i spoczywało? — co spocznie to i ginie; a ja mój Panie nie chciałbym ginąć jeszcze i dla tego nie myślę spoczywać.

— Wielką mi pan dałeś naukę, odrzekłem, i będę umiał z niej korzystać.

— Jest to tylko małe usprawiedliwienie, na jedną zbrodnię, które mi świat zarzuca, że śmiem jeszcze pracować, choć mógłbym założyć ręce, spocząć i umrzeć. Zapewnie nie raz słyszałeś jak krzyczą na mnie: czemu pięknych znaków nie za-

wieszę przed sklepem, czemu czeskich szkieł nie powprawiam w okna, czemu sklepu nie odmaluję, czemu starych szaf nie powyrzucam, czemu się nie stroję, czemu dłużej nie zapuszczę czupryny, czemu rozparty w powozie nie paraduję po Warszawie, czemu się nie ożeniłem, czemu nie mam kochanki, czemu się nie upijam, czemu się nie objadam? i t. d. i t. d.? — takich zarzutów nie przeliczyłbyś mój Panie; — ja milczę na wszystko i śmieję się ze wszystkich — żyję jak mi żyć dobrze — przy pracy, przy mierności, w grubym surducie, w starym sklepie wśród pyłu i pajęczyny. — Może ja mam na wszystko przyczynę i człowiek rozsądny by mię pojął; ale rozpustnikom, głupcom, czemu głowom co mam mówić i na co się to przyda?... Oni wszystko sądzą według samych siebie; oniby chcieli, żeby cały świat był głupi, jak oni, czyży i pusty jak oni, pijany jak oni; żeby cały świat oparł się na miękkiej sofie i cały

świat palił sygaro, i cały świat zadymił się jak oni. — Poczciwi ludzie, oni chcą żeby wszystko było jak oni, żeby każdy myślał jak oni, chodził jak oni; nie mogą przebaczyć temu, kto ich nie malpując własnem poważy się istnieć życiem. — Długoby o tém mówić mój panie. — Franusiu głowę cukru, zwijaj się prędzój. — Antosiu butelkę araku. — Coś mi się lepiej zrobiło, może Panu winien to jestem, rzekł później kupiec. Dziwno mi, że pan, co tak dawno bywasz u mnie; nigdy mi się nie dziwiłeś; zapewne choć w części mię pojąłeś; jakkolwiek bądź, ale to jest przyjemnie, gdy kto nas zrozumie; lót szafranu dla téj Pani — pięć butelek szampańskiego wina — przepraszam, ale oni bezemnie rady sobie nie dadzą. — To mówiąc kupiec zwrócił się, pobiegł do piwnicy i za chwilę powrócił z szampańskiem winem.

— Szkoda że nie mam czasu z Panem pomówić, mówił zawijając w papier przy-niesione wino; nie wiem co to jest, ale język

mnie swędzi i chciałbym z Panem do woli się nagadać.— Hej Franusiu, funt szwajcarskiego sera— Antosiu oko kawy— ah! prędzejże, prędzej.

Chciałem już wychodzić, widząc jak Pan Augustyn mocno jest zatrudniony, gdy ten oglądając się za mną zawołał:

— Czy Pan wyjeżdżasz na święta?...

— Familja moja mieszka daleko, a blisko Warszawy nie mam do kogo wyjechać; muszę więc w Warszawie pozostać.

— Jeżelibyś pan nie znudził się u mnie, mówił kupiec po chwili, albowiem musiałem poczekać nim obliczył należytość, odebrał pieniądze i zdał resztę, jeżeli mówił, nie znudziłbyś się pan u mnie w Falentach, cichych spokojnych, gdzie tylko kwiatki i siostry są moją zabawą; proszę Pana do siebie na święta.

— Z chęcią przyjmuję zaproszenie, odrzekłem uradowany, albowiem poznając bliżej Pana Augustyna, poznawałem pra-

wego człowieka, praktycznego filozofa i tyle pragnąłem od niego się nauczyć.

— 2 butelek oliwy, 5 fontów rodzenków, 3 fonty migdałów, 2 głowy cukru, spieszcie się dzieci, sklep aż pełny, oh! jakże wolno to idzie!...

— Uprzedzam pana, mówił kupiec uspokoiwszy się nieco z kupującymi, że u mnie nie znajdziesz wykwintnego stołu, bo go sam cierpieć nie mogę; nie znajdziesz kart, kości, bilardu, a może do nich przywykłeś w Warszawie? — jedyną rozrywkę napotkasz, jeżeli lubisz muzykę, że ci moja siostrzenica zabrzdąka na fortepianie; za to wszystko, uczestuję cię po ludzku rozmową, bo widzę że lubisz się czegoś nauczyć, a ja choć wielkich nie skończyłem nauk, mogę nie jednemu poradzić.

— To dla mnie będzie najlepsze przyjęcie odrzekłem — a kupiec znowu wybiegając do piwnicy — mówił:

— Zaczekaj pan chwilkę, wkrótce powrócę.

— Zawiń to wino dla pani Franusiu — odważ font kasztanów Michale, jeszcze garniec stołowego wina Antosiu. —

I znowu musiałem zaczekać aż się kupiec ułatwi i mówić zacznie:

— Zatem w sobotę w nocy wyjedziem, i to dopiero po jedenastej, bo wtedy sklep zamkną i ja spokojny wyjadę.

— Będę służył — a teraz żegnam pana.

— Tylko proszę słowa dotrzymać, wołał za mną kupiec, gdy wychodził.

Jakże jestem szczęśliwy! zawolałem wybiegłszy na ulicę, otóż jestem u celu mych życzeń, zbliżyłem się do tego nieodgadniego człowieka, on sam mi się odsłania, poznam go, zbadam, nauczę się téj niepojętej dla wielu filozofji, wywiode nie jeden wniosek, nie jedną prawdę!

Z niecierpliwością czekałem wielkiej soboty.

Nadeszła przecież — zdawała mi się długą, choć byłem zajęty, bo wszystkie zwie-

dzilem groby i na ulicach cały prawie dzień spędziłem.

O północy wyjechaliśmy z Warszawy — przybywszy do Falent, pan Augustyn udał się na spoczynek, bo po pracy bardzo go potrzebował, ja zaś usnąć nie mogłem myśląc o tém, co miałem słyszeć od pana Augustyna i lękając się aby nie przyszła mu myśl cofnienia słowa, i dla tego postanowiłem mniej ciekawego udawać.

VIII.

Przejdźmy do mego pokoju, mówił kupiec gdyśmy wstali od stołu, nieznośny czas i kazałem na kominku napalić; — Masz pan kilka sygar, które pamiętałem przywieść z Warszawy, nikt nam nie przeszkodzi i możemy do woli się nagadać.

Przeszliśmy do ozdobnego pokoju, który tworzył kontrast za nadto widoczny, prawie dotykalny z usposobieniem kupca — ja zapaliłem sygaro, Pan Augustyn usiadł i tak mówić zaczął:

— Kiedy ostatni raz byłeś pan u mnie w sklepie, mówiłem ci, a i sam pewnie nasłuchałeś się tego po mieście, że tysiącem zarzucają mię zbrodni, nie mi przebaczyć nie chcą i potępiają za wszystko; jednak jak już powiedziałem, na wszystko jest przyczyna, i w mojem przekonaniu, tak byź powinno, musiało, jak jest. — Ludzie wszystko sądzą z pozoru, w grunt rzeczy nigdy zajrzeć nie lubią i wpadając w ostateczności wynoszą pod niebiosa to, co za ledwie warto pochwały, a często potępiają, a nawet bez odwołania, wszystko, co tylko ma nie-szczęście im się nie podobać.

— Codzienne tego widzimy dowody odrzekłem; czém są wszystkie opinie publiczne, czém głośnie pochwały, czém sama sława?

— Nie inaczej mówił kupiec, gmin nie bada, nie wchodzi w przyczyny rzeczy, wznosi za lada drobnostkę, jak za lada drobnostkę gotów wyklinać. — Dla tego nigdy nie obchodziło mię co o mnie mówią,

pragnąłem tylko własnego zadowolenia, chciałem tylko, abym nic sobie nie mógł wyrzucić. — Jednak dla każdego uczciwego człowieka nie może być obojętną rzeczą opinia, i jeżeli prawe jego życie fałszywie widziano, przyjdzie czas, że jak należy ocenią je i oddadzą sprawiedliwość. — Długo może na to czekać wypada; ale że ten czas przyjdzie nie ma wątpliwości. Usprawiedliwiać się przed gminem, a gminem nie nazywam ludzi w sukmanach i burkach, ale ludzi czcnych, próżnych, bez myśli i bez serca, nie znajduję stosowném; ich pochwały nie cieszą; nagany niepowinny zasmucać. — W tym względzie, życie moje jest jasnym dowodem. Nie jest ono bezbarwne jak może sądzi wielu, nie jest czcze i próżne, jak mogą myśleć ci, co mię tylko znają przy kassie — Opowiem panu moję młodość a sam się przekonasz.

Tu pan Augustyn opowiedział swoje lata dziecinne, które znają czytelnicy z poprze-

dniego mojego opowiadania a później kończył:

Teraz nie zadziwisz się pan zapewne, że wychowany w ubóstwie, w nędzy nawet, bo w głodzie i zimnie, z sercem czułym i pragnącym pomyślności mojej rodziny, kiedy przyjęty zostałem do kupca jako chłopiec sklepowy; byt mój znalazłem, nietylko znośnym, ale przyjemnym, a nawet szczęśliwym; że dzieckiem przyszedłszy do Warszawy i cudem znalazłszy miejsce, uznałem w tém opiekę cudownego pana Jezusa a widząc zaś że sam sobie oddany, sobą tylko istnieć mogę i otrzeć lzy nieszczęśliwej matce, które tak często skrapiały moje skronie. — Cóż w mojem położeniu pozostawało, jak tylko oddać się pracy duszą i ciałem, jak zamilować ją, pokochać, poślubić na cały żywot? — Praca była mojem żywiołem, moją nadzieją, moją radością i mojem szczęściem; pracy mojej Bóg błogosławił jakże miałem niewdzięcznie ją porzucać? praca stała się dla mnie przyjemną, potrze-

bną, bez niej żyćbym nie mógł, bo wzrosłem przy niej, osiwiąłem, zestarzałem się i dzisiaj wrzeszczą na całe głośy, że jeszcze pracuję, że nie założę rąk?—Prawda mam dosyć że mógłbym zamknąć sklep, osiądź w dobrach, bawić się, zbytkować i wystarczyłoby mi zapewne—ale czyż mogę być bezczynnym?... Życie pańskie do którego nie przywykłem, wykwintne stoły, wyborne wina, duszący dym, piękne kobiety, nudy i fałszy, obluda i udawanie zabilyby mię w rok jeden, może w miesiąc. — Prócz tego, jakież cel podobnego życia?... Czy podobnem życiem przyniosłbym ludzkości jakiś pożytek, czyż przyczyniłbym się do ogólnego dobra, czyby Bóg sam mógł mi jeprzebaczyć?... Ja, który łaknąłem kawałka chleba w młodości, który na własnych ramionach nosiłem drzewo dla ogrzania siebie i mojej rodziny, ja który prosiłem Boga ze łzami, z ufnością, nie o zbytek, nie o dostatki, ale o chleb, o życie, jażbym dzisiaj, gdy Bóg w nieskończonej dobroci

pobłogosławił méj pracy, gdy mi dał więcej jak potrzeba, jaż dzisiaj byłbym tak niewdzięcznym zbrodniarzem, abym to rozproszył, abym pokalał zbytkiem me życie pracowite i poczciwe; abym zgnuśniał, abym został panem, próżnym, dumnym, bezużytecznym?... Gdybym posłuchał ludzi, gdybym ich woli zadość uczynił, czy pan sądzisz że znowu mogliby mi to przebaczyć?... Krzyczeliby na całe głosy, dziwili się z kąd wzięłem tak wielki majątek, ginęli w domysłach, obczernili i pokalali nieprawością me życie. — A ja cóżbym zarobił?... raz straciłbym własne zadowolenie, tyle drogie, tyle nieocenione, w którym moją niegłębką filozofją, widzę przyszły żywot niebieski człowieka; znudzony, zgnuśniały, umarłbym, skonał w męczarniach i na sąd Boga oczów nieśmiał pokazać. — Żyjąc jak żyję, jestem szczęśliwy, w pracy zamilowany, widzę cel życia; pracuję zaś nie dla chciwości, bo wiem że to co mam, tego nieprzeżyję; lecz z zamilowania, a jeżeli moja pra-

ca powiększa majątek, są tacy, którzy się o to gniewać nie będą. — Prócz tego, czy pan sądzisz że ja pracuję dla siebie, że nikt nie korzysta z méj pracy?

— Bynajmniej, odrzekłem, pańska familia...

— Ta podobno najmniejszy w niej ma udział. — Sam żyjąc jak najskromniej, nie pozwalam zbyt jej robić; wiem że zbytek nie stanowi szczęścia i że tępiąc uczucia, odbiera wszystkie przyjemności. — Jak głód jest najlepszym kucharzem, tak potrzeba w ogóle, powiększa wszystkie przyjemności życia, skoro je musimy zaspokoić? — Sam za siebie nie chcę odpowiadać Bogu, tém bardziej nie życzyłbym sobie, aby mię on karał za moją rodzinę. — Nie chcę ja wcale, żeby ona moją pracą zgnuśniała, osłabła na ciele i duszy, żeby paradowała w strojnych pojazdach, żeby jaśniała złotem i brylantami, żeby strawiła mój dorobek, a potem została nędzną, ubogą schorzałą i podłą. Pomagam jej, pragnę po-

myślności; ale nie pomagam wprost, nie daję pieniędzy, nie sprawiam strojów—każę pracować, jak sam pracowałem, jak pracuję i jak pracować będę do ostatniej chwili mojego życia; pomagam, aby ta praca była znośną, przyjemną, aby im czyniła korzyść.

Tak zawsze pojmowałem pomoc jaką człowiek winien człowiekowi, jaką winien brat bratu, jaką winna ludzkość społeczeństwu, a społeczność ludzkości. — Według mnie, tylko ten środek pomożenia jest pewny, inne są niedołącznymi, co powiem, psują, demoralizują nawet — kalece, słabemu, niedołącznemu starcowi, dziecku niezdolnemu pracować dam wsparcie—kto inny nie rozczuli mię abym rozwiązał mój worek; komu innemu pomogę, ale pomogę aby pracował. Tak więc, moja rodzina nie wielki z méj pracy odnosi udział; ale są ludzie, których byt z moim jest połączony, którzy zginą, gdy ja ręce założę, którzy przyjdą do rozpacz, gdy ja sklep zamknę.—Pan

niepojmujesz tego zapewne, bo nie znasz handlu, zatem muszę ci wytłomaczyć.

W handlu, wiara i kredyt więcej stanowią jak pieniądze; sądzę, że nawet nie tylko w handlu; ale w życiu każdego człowieka prawda ta jest widoczną;— otóż trzeba panu wiedzieć, mówił pan Augustyn, że wielu kupców tak w Warszawie, jak na prowincji rozpoczęli swój zawód małymi własnymi kapitałami, a niektórzy pożyczonymi. Zasoby ich były niedostateczne, aby sklepy można opatrzyć potrzebnymi towarami; każdemu z nich, który był rządym i pracowitym, a nie zbyt kował, jak wielu, którzy trzymają kochanki, a żony ich amanatów, którzy nie równają się z panami, nie paradują w koczach i karetach i których żony nie stroją się w perły i brylanty, każdemu z nich mówię, otworzyłem u siebie kredyt, każdemu daję, co mu do handlu potrzeba i tym sposobem utrzymuję każdego z nich byt i kredyt. — Każdy z nich winien mi kilka tysięcy, kilkanaście

nawet; kiedybym przestał pracować, kiedybym sklep zamknął, musieliby mi zaraz zapłacić, bo darować nie mogę, sam będąc winien; bardzo wielu byłoby w przykrém położeniu, wielubym zbankrutowało, przyszło do nędzy. — Tak więc, ich byt zależy odemnie, a ja nie miałbym sumienia, dla tego tylko, że mi się zachciało spocząć, założyć ręce, żebym ich pogubił i tyłu na raz.

— Policz pan, wiele rodzin, wiele osób kupieckich, wiele innych, którzy im powierzyli kapitały, narażeniby zostali na straty, wiele osób pozostałoby bez chleba?

— Teraz sam osądź mój panie czy mogę sklep zamknąć?...

— Niepodobna, odrzekłem, toby było nie-ludzko, niegodnie

— Jednak wszyscy nie chcą tak widzieć mój panie, mówił pan Augustyn, może dla tego, że nie wiedzą stanu interessów, jak zwykle ludzie, co sądzą o rzeczach z pozoru. a nie wiem czyby to było szla-

chetnie z mojej strony, dla usprawiedliwienia się, chyba pismem ogłosić dla czego co robię i ludziom się sprzeciwiam? — Nie dosyć tego:

— Nie raz obija się o moje uszy, jak piękne damy, które chociaż się krzywią; ale wchodzi do mego sklepu, narzekają i dziwią się, dla czego innego nie wynajmę lokalu, obszernego, jasnego, pięknie wymalowanego i wystrojonego, dla czego nie przeniosę tam mojego handlu, dla czego nie powyrzucam starych szaf i kassy, dla czego u mnie tak ciasno, tak brudno?... dla czego przed moim sklepem stoi ten sam niedźwiadek, który był znakiem mojego poprzednika i pana, dla czego?... a któżby to wszystko wyliczył, czego im się zachciewa, czego żądają odemnie?...

— Zważ tylko sam mój panie: dziecięciem prawie przybyłem do tego sklepu, w nim odżyłem z nędzy nadzieją i pracą, w nim pan Bóg mi poszczęścił, w nim dorobiłem się majątku, w nim doznałem szczęścia

pracy, nadziei i pomyślności, w nim osi-
wiałem i dzisiaj, oni każą mi go porzucać,
dzisiaj każą mi go odnawiać, stroić, że-
bym go sam nie poznał, żebym w sklepie
w którym się zestarzałem uważał siebie jak
gościa? — Szaleni! oni o wszystkiém sądzą
według siebie — im wszystko się naprzykrza,
wszystko ich nudzi; chcieliby zmieniać
miejsca, mieszkania, meble, suknie, przy-
jaciół, sami siebie zmienić by chcieli, bo
u nich nic nie ma stałego, ich sposób my-
ślenia zmienia się z wiatrem, ich upodo-
bania z modą, ich serca z interessem — i
mają słuszość, że wszystko zmienićby
chcieli, bo im nie dobrze, bo ich coś nu-
dzi, coś niepokoi; ale wina ta nie powinna
spadać ani na miejsca, ani na meble, ani
na suknie, ani przyjaciół, lecz na nich sa-
mych. — Ich znudzenie pochodzi z nich sa-
mych, z ich czezości serca, z ich próżno-
ści, z ich płochych myśli; a tych nie za-
stąpią ani nowy szal, ani nowa karetka, ani
nowy dom, ani nowa kochanka, ani nowy

przyjaciel. — Mnie dobrze w moim ciasnym i brudnym sklepie, mnie dobrze z jednym przyjacielem, mnie dobrze w podartym surducie. — Pojmujesz mię pan teraz?... Czy podobna żebym mógł wynieść się z mojego sklepu? czy podobna żebym go mógł odnowić albo odmienić?... Oh! wiesz pan, mnie zdawałoby się żeś najokropniejszą popełnił zbrodnię, myślałbym że moje własne zniszczyłem szczęście, żeś na śmierć w insze wyprowadził się miejsce. — Mnie wszystko drogie w moim sklepie i wierzaj mi pan, że gdyby mi go zamieniono na sklep alabastrowy, na złote szafy, perłami wysadzone; jabym go nie mógł oplakać, jabym umarł bez niego. Bo co też ja mam w moim sklepie!... to są wszystko skarby których nikomu póki żyję telnąć nie pozwolę — te stare graty, zestarzały się razem ze mną, i należą do mego życia, bo do nich nie jedno przywiązane wspomnienie. Pajęczyny nawet omieść nie pozwolę, bo taką samą pajęczynę zastałem, kie-

dym pierwszy raz wszedł do sklepu — kiedyś nie dawno, spadł na mnie pająk, myślisz pan że go zabiłem?... oh! nie — mnie zdawało się że dawnego zobaczył przyjaciela, i gdyby nie ludzie, co byli w sklepie, byłbym go ucałował, byłbym się z nim nagadał, przypomniat moją młodość, zapytał o poczciwego mojego dawnego pana; mnie się zdawało, że to ten sam pająk co był za niego, któremu ja pozwoliłem dowolnie rozpościerać siatki — oh! panie ludzie tego nie pojmują!

— Może pana nudzę mojem opowiadaniem? zapytał mnie kupiec.

— Oh! bynajmniej — wszystko dla mnie jest nauką, poezją, filozofiją, wszystkiego słucham z jak największym zajęciem.

— Ale może wypijesz kieliszek wina? bo chociaż ja nie pijam, to wiem że człowiek nie smakuje w tém do czego nie przywyknął.

— Bardzo dziękuję, odrzekłem, nie prze-

rywaj pan rozmowy, która mię uczy i tyle sprawia przyjemności.

— Prawdę mówiąc przez życie tyle co dziś nie nagadałem się, wyjąwszy przy sprzedaży w sklepie; ale to zawsze miło dawne przypomnieć dzieje. — Przygotuj się pan, bo może dość długo będę mówił.

Po chwili przestanku znowu rzekł kupiec:

— Dziwném i niepojętém znajdują ludzie, że mimo dostatków nie ożeniłem się, nawet przeciwnie przyjętym zwyczajom, nie mam kochanki, krótką mógłbym dać na to odpowiedź, że praca i zajęcie nie zostawiały mi czasu abym mógł miłośkami się bawić; ważniejsze zajmowały mię cele i ten zawsze uważałem podrzędnym. Nie sądz pan, abym zupełnie wyzuł się z uczuć wrodzonych człowiekowi i wierzaj mi, że nie raz bardzo mi przykro, gdy wspomnę sobie, że najczulszych, najrzewniejszych nie znam uczuć, jakie każdy ma ojciec dla swojego dziecięcia; czuję to w duszy, że

potrzebą każdego jest odrodzić się w przyszłości, pozostawić potomstwo, nie jako uwiecznić się w niem na ziemi. I miłość także miała dla mnie powaby, i był czas że dla niej poświęciłbym moje nadzieje, mój majątek, życie nawet. — W młodości, w tej chwili wrzących uczuć, malowałem w wyobraźni miłość, jako raj ziemski, jako jedyne uczucie, które życie osłodzić, ludzi uszczęśliwić zdoła. — Dla niej gotów byłem wszystko poświęcić; lecz Bóg nie pozwolił mi tego kosztować! — bydź może, że za wiele pragnąłem od kobiet, uważałem je jako niebianki, a to były tylko kobiety, córki ziemi. Przekonany że ich uczucia są zmienne, niestałe, mogące się kupić, pogardziłem niemi i widziałem niegodnym szukać miłości. — Byłem jednak człowiekiem, potrzebowałem istoty sobie podobnej, chciałbym ją posiadać, mieć jako własną i lękałem się obtudy, fałszu i zdrady kobiet. Kiedym dorobił się majątku, gotów byłem kupić sobie młodą, piękną kobietę.

— Kupić?... zapytałem zdziwiony.

Nie inaczej mój panie — dziwi cię zapewne to wschodnie wyrażenie, jednak mimo naszej boskiej religji, mimo wzniesionej oświaty i rozjaśnionych praw ludzkości; kobietę zawsze się kupuje. — W Azji i w Europie u Mahometan i u Chrześcian, kobieta jest przedmiotem handlu, z tą tylko małą różnicą że na wschodzie kupując kobietę, płacisz za nią tyle, ile się ugodzisz, płacisz z góry, a ona jest twoją własnością; tutaj kupując, albo jeżeli ci się to nie podoba, zaślubiając kobietę, targ rozpocząłeś, a płacić musiszz całe życie;— mimo tego, kobieta nie jest twoją, zaprzysięgła ci wiarę, dozgonną miłość, a może cię porzucić, iść za innym i ktokolwiek w każdej chwili może cię jój pozbawić.

— Rozczarowałeś pan moje o kobietach marzenia.

Lepiej bądź wcześniej rozczarowanym niż później za szal młodości pokutować. Jak uważam, nie możesz mi pan darować

wyrażenia że się kobieta kupuje, że się na targ wystawia; zatem muszę panu dowieść. Młoda i czuła kobieta musi kochać, bo miłość jest potrzebą jej serca, jest jej życiem; pierwsza jej miłość zwykle nie czyni wyboru i pierwszy który się nawinął pozyskał niewinne jeszcze serce; ten pierwszy rzadko ma to, czego koniecznie potrzeba w miłości, — nie ma stanu, nie ma bytu, nie ma funduszków wystarczających na utrzymanie siebie i żony, nie ma majątku na dogadzanie jej próżności — kocha więc po największej części skrycie, w milczeniu, z nadzieją i ufnością; tym czasem rodzice i krewni myślą o postanowieniu panny i chcieliby ją wydać dobrze, bogato. Prowadzą ją na bale, na teatry, maskarady, koncerty; — jeżeli piękna, posażna, tłumy około niej spostrzeżesz; te tłumy prawią jej grzeczności, kłamstwa i upajają kadzidłem pochlebstw. Panna teraz spostrzegła że ma małą rączkę, zgrabniutką nóżkę, piękny nosek, wysmukłą kibić, do-

wcip, rozum, i zaczyna wysoko się cenić. Zachowała pierwszego kochanka, to prawda; lecz podaje mu rękę z protektorską miną, mówi do niego cicho i przez zęby, mierzy go okiem co do postawy, co do ułożenia, mierzy myślami co do kieszeni, co do stopnia, co do rozumu. Zaczyna powoli porównywać i porównanie rzadko bywa korzystne. W końcu, zmądrzała panienska i mówi sobie: jakaż ja byłam nierozsądna w nim się zakochać!—Przedstawia pretendenta do ręki młodej jeszcze panny; prawda że nie pierwszej młodości, ale zawsze w siłę wieku — ma on przyzwoite miejsce w towarzystwie, stosowny do utrzymania fundusz i rodzina dzień i noc powtarza: to mąż dla ciebie, nie ma co czekać.—Ale panna dzisiaj zmądrzała i mówi sobie: Ciekawam co za los zrobię, idąc za tego jegomości! ma blisko lat czterdzieści, mazurka niezgrabnie tańczy, po francuzku nie dobrze mówi, i ma tylko dziesięć tysięcy dochodu!—Wcale nie myślę zmarnować mojej młodości i wdzię-

ków! — pan hrabia mówił że mię kocha, baron tańcząc ze mną tak czule rękę ścisnął; na nich z pewnością mogę liczyć i dziesięciotysięczny jegomość niech idzie z kwitkiem.

Żeby się jój nie nudziło prowadzi romanse, zawiezuje intrzygi, rozmawia o roman-sach, czyta romanse, czasem pisze romanse i cała przesiękła romansem. Wśród prowadzenia i czytania romansów, twar-zyczka blednieje, oko traci ogień i serce przekwita, a w głowę nowych zasad wyjętych z romansów tyle weszło, że się już pomieścić nie może. Rozumuje, porównywa i wyprowadza wnioski — z nich wypadło: ten młody, piękny chłopiec, ale ma tylko nadzieje, za nadzieje zaś nie kupi powozu. szala, pereł, karety — ten dobrze ułożony mężczyzna, wcale przystojny, rozumny nawet, ale ma tylko trzy tysiące dochodu — trzy tysiące dochodu, cóż za to mieć można? ... ten tak piękny, ślicznie tańczy, akcent ma prawdziwie paryzki, czuły, ser-

ce ma najlepsze; ale... Kocham go, szaleję za nim... wszak rzeczy można pogodzić... on sam może się gniewać niebędzie, a więc nie ma co myśleć. Prawda, stary hrabia jest nieco łysy, ma lat 60, często choruje, ale cóż robić?... tak, niech się dzieje wola boża, pójdę za niego. Tego ślicznego chłopca zawsze będę kochała, wszak tego nikt mi nie zabroni?... Poszła panienka za mąż, sprzedała się, wytargowała za siebie pieniądze i bawi się, kocha, prowadzi romanse, a mąż dla swego wstydu patrzy przez szpary.

Wiesz pan teraz dla czego się nie ożeniłem?

Oto kiedy byłem młody, miałem bardzo mało i kochałem pewną kobietę, muszę panu opowiedzieć tę pierwszą moją miłość; ale niech wprzód zjednym skończę. Otóż mówię, kiedy byłem młody, kochałem i pragnąłem znaleźć towarzyszkę życia; ale wtedy nie miałem dosyć, abym ją sobie kupił — później kiedy mogłem brzę-

knąć złotem, skinąć, a tłum dumnych piękności byłby się ubiegał o brudnego i zawalanego kupca, wtedy myślałem sobie, że kobieta, którąbym zaślubił, nie kochałaby mnie, ale moje złoto; wdzięczyłaby się do mnie, i nazywała kochankiem, a czekała sposobnej chwili aby mię zdradzić, oszukać; że zamiast towarzyszki i przyjaciółki wziąłbym panią domu i siebie, że z wolnego stałbym się niewolnikiem, z panna poddanym, ze spokojnego i swobodnego niespokojnym, zazdrośnym może, że jejność każąc opłacać niżenie się do brudnego kupca, stroiłaby się w fioki, wymyślała nowe zbytki i amantom pojaźdy sprawiała; wtedy rzekłem sobie, nie warta chwila rozkoszy tak drogiego okupu i nie myślałem wcale dobrowolnie do łańcucha poddawać szyi. Pracowałem jak zwykle, nie myślałem o kobietach i było mi bardzo dobrze i bardzo spokojnie. Nie upadłam miłości mój panie, ale zdaje mi się że ona jest dzieckiem próżnowania.

Jednak nie myśl pan aby moją obojętność dla płci niestałej pozostawiono spokojną. Strawić tego nie mogli że mam zamożny sklep, dom własny w Warszawie, ozdobne pokoje w których nigdy nie mieszkam, w których zdaje mi się że jestem gościem i które sam nie wiem na co wystroilem; o Falentach nie jedna piękność z największym mówi zajęciem, i nie jedna niby pod pozorem zobaczenia moich kwiatów, odwiedziła je nie raz, a moje kapitały, pomnożone w jednych ustach przez dziesięć, w innych przez sto unosiły, ta, jeszcze uczoną nie jedną dumną piękność, nie jedną przezorną matkę, nie jednego chciwego, a zrównanego ojca, któryby chciał żebym jego zapylone szaty moim złotem odnowił.

Nie byłem uprzedzony, ale to widoczna że chciano mię złowić, co mówię mnie, nie mnie ale moje kapitały, moje Falenty. Wystaw pan sobie, do mego brudnego sklepu, na który się krzywiono i wyrzekano, co dzień prawie jedne i te same przychodziły

damy, piękne, strojne, mówne, wdzięczyły się do mnie, uśmiechały tak mile, słodko że nie raz o mało nie uwierzyłem, że im się podobam; lecz przypominałem sobie zaraz, że kiedy byłem młody, nie było téj któraby mię kochała, dziś osiwiwały, stary zdziwnymi zwyczajami, dziwnym sposobem myślenia z czegożbyna mógł się im podobać?... i wykrzywiłem twarz, okropnie i roześmiałem się szyderczo i potrząsłem pieniędzmi w kassie ze wzgardą — z dumą. Nie rozumiały one mojego uśmiechu, myślały że mię zwioda, przysyłały stare baby, które mi o ich prawyły cnotach, podłatusiałych wujów, którzy przy kieliszku unosili się nad niemi, i o mało mi nie powiedzieli że ich siostrzenice mię kochają, że wszystkie, nawet razem chcą mieć mię za męża. Pamiętam jednak, wyborna dziewczyna, młoda, piękna ale przytém rozumna, sama mi się oświadczała że mię kocha, Antosia jój na imie — wychowana po pańsku, lubiąca żyć świetnie, często je-

zdżącą z matką w pojeździe a romansowa jak rzadko!—Rozumiała że ja temu uwierzę, rozumiała że mam jeszcze lat ośmnaście jak dawniej— ale nic ztego mościapanno, Augustyn znał wasze fałszy i obłudę, a przytem wiedział że masz tam jakiegoś panicza, z długimi włosami, w żółtych rękawiczkach, i obszernym kolistym burnusie, którego sobie damy warszawskie wydzie-
rają. Zapewne chciałabyś pomyślałam sobie, mościapanno pójść za starego, brudnego kupca, a opłacać miłość modnisią — ale nic ztego mościapanno, stary Augustyn nie głupi.

Tak więc wszystkie zabiegi zostały bezużyteczne, nie uwierzyłem żadnemu fałszowi żaden uśmiech nie złudził mię, żadna piękność mię nie zajęła — nie ożeniłem i podobno umrę bezżenny, chyba...

— Tu zamilkł kupiec a ja mówiłem.

— Jednak to chyba dużo daje do myślenia.

— Tak zapewne, odrzekł z namysłem pan Augustyn. — Małżeństwo świętym jest

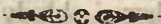
węzłem, jest źródłem nieprzebranych rozkoszy, lecz w nim trzeba cnoty, trzeba ufności, wiary, trzeba miłości — bez nich jest nieznośnym łańcuchem, jest piekłem na ziemi. — Wierzaj mi pan, dziś jeszcze choć osiwiwały, choć nie młody, zrobiłbym to szaleństwo, niepytałbym się, co za jedna jest ta kobieta, któraby mi się podobała, kto jej rodzice, jaki ma majątek, z jakiego pochodzi stanu; ale wiecznie pytać będę czy w jej sercu nie ma fałszu i obłudy, czy mnie kocha i czy kocha dla mnie samego tylko a nie dla moich pieniędzy. — Oh! te pieniądze!... może przez nie nie znam miłości, nie znam uczuć ojca i męża. — Jednak to tylko marzenie mój panie, nie ma tej kobiety, któraby mię szczerze kochała, a obłudę odgadnę.

— Zważ pan, odrzekłem że wszystkie kobiety nie mogą być tak złe jak pan je malujesz.

— Zgadza się na to. — Ale pokażesz mi tę dobrą, szczerą kobietę, niech ją po-

znam, niech ją pokocham, ona mię wzajem; a wtedy proszę pana na moje wesele.

— Tymczasem, przyjdźmy do moich siostr, moja siostrzenica niech nam co zagra a potem opowiem panu ową pierwszą miłość, o której ci wspomniałem.



IX.

Pierwsza miłość pana Augustyna.

Po herbacie prześliśmy znowu do pokoju Pana Augustyna, ja zapaliłem sygaro, on przeszedł kilka razy w około, uśmiechnął się i rzekł:

Przyrzekłem Panu opowiedzieć moją pierwszą miłość, zatem chciiej posłuchać; uprzedzam cię jednak, że to niebędzie nic nader zajmującego, bo to wypadek zwyczajny, codzienny, obrazek kobiety niestałej, płochój, na jaki codzien patrzymy, je-

dnak dla mnie jest miłym wspomnieniem, jako należący do pamiątek młodości. — Posłuchaj Pan. — Siódmy rok mijał jak przybyłem do Warszawy; już byłem tak wysoki jak dzisiaj, szczupły jak dzisiaj i od dwóch lat byłem subjektem sklepowym — rozumiesz Pan, subjektem sklepowym, to jest miałem już stan, byt, nadzieje i przyszłość przed sobą — Byłem tak szczęśliwy, że tego dziś wypowiedzieć nieumiem, szczęśliwszy niż dzisiaj, niż kiedykolwiek w życiu. — Ja ubogi, sierota, wychowany w nędzy, ubóstwie i łzach matki, miałem suknie, pieniędzy tysiąc złotych na rok i miłość mojego Pana. — Pamiętam, gdym pierwszy raz odebrał moje kwartalne zasługi, przeliczałem je prawie noc całą, cieszyłem się moim wielkim jak Rotszylda kapitałem, bawiłem się pieniędzmi, myślałem co za nie mam kupić, co sprawić, ile matce posłać, ile sobie zostawić, i spać nie mogłem noc całą; dzisiaj gdyby milion przybył do mego majątku, nie wiem

czyby mię to w połowie ucies żyło, co dawniej sto złotych. — I wstałem na drugi dzień bardzo rano, pisałem do mojej matki, zapakowałem połowę moich pieniędzy, oddałem na pocztę i więcej cieszyć się począłem myśląc co to będzie za radość mojej matki, kiedy odemnie odbierze pieniądze, odemnie biednego chłopca który dzieckiem od niej wyszedłem, bez grosza, bez nauki, bez przewodnika. — Zacząłem myśleć co to moja matka za te pieniądze nasprawia; jakie moje siostry będą miały sukienki, jaką radość, jakie szczęście; prawie slysząłem ich błogosławieństwo dla mnie, slysząłem ich podziękowania. — Oh! Panie, to tylko pojąć potrzeba co się działo we mnie. — Czyż najwyborniejsze wino, czyż najwykwintniejsze potrawy, naipiękniejszej rozkosz kobiety, choć w setnej, w milionowej części dadzą nam uczuć tę rozkosz, jaką sprawia najmniejszy czyn dobry. — Po tamtych niesmak i obrzydzenie, po tych radość,

zadowolenia i szczęście. — I zasmakowałem wówój czystej rozkoszy i powiedziałem sobie: człowiek bardzo mało potrzebuje dla ciała, kto chce żyć sercem i duszą. — Dla ciała dobry chleb suchy, smaczna czysta zimna źródłana woda; wszystko więc poświęcę dla duszy, niąbędę żył, dla niej pracował. — I pobiegłem do kościoła S. Jana, do mego cudownego Pana Jezusa, który się mną opiekował; padłem na kolana i dziękowałem za jego łaski, za chleb, za pociechy, za moje czyste uczucia; bo jak też ja byłem szczęśliwy! oh, tego dziś sam pojąć, sam opowiedzieć nie mogę. — Szczęśliwy mojami uczuciami, mojem zadowoleniem, nie mogłem ukryć mojej pociechy; radość przebijała się z czoła, z oka, z twarzy, z mojego spojrzenia, z mojego każdego ruchu. — I widzieli tę radość moi koledzy pocziwe chłopcy przyjacielscy, szczerzy, ale nie tacy jak ja; bo oni lubili dobrze jeść, dobrze pić, ubierać się, kochać, bawić miłostkami i trwonić pieniądze. — Dziwili

się oni mojemu szczęściu i śmiali się ze mnie mówiąc: patrzcie Augustynek oszalał, on nie wie co ma robić ze swojemi pieniędzmi; ja na jego miejscu, rzekł jeden sprawiłbym dzisiaj podwieczorek mojej kochance.

Ja tegobym nie zrobił odrzekłem, ja mam ubogą matkę i wolę jej posłać —

— Ha! ha! ha! roześmieli się koledzy moi i dodali: a resztę gotów może rozdać pomiędzy dziadów i baby pod kościołem. —

Umilkłem, bo cóż było odpowiedzieć, oni mnie nie pojowali, nie rozumieli mojego wewnętrznego życia i pomyślałem sobie: otóż to ludzie, oni samą cnotę wyśmiejają — i postanowiłem odtąd nawet najcnotliwsze myśli ukrywać, samą dobroczynność wyświadczać tajemnie — bo mój Panie, ludziom wszystko zaszkodzi. — To stało się zasadą mojego życia, a życie moje było wewnętrzne duchowe szczęśliwe; nie żyłem jak żyje świat okiem, uchem, ustami, językiem ciałem w ogóle, ale żyłem sercem i duszą,

Dziękowałem Bogu za takie życie i powinienem był dziękować, bo widziałem, że moi koledzy strojni, z piosneczką w ustach, z pustotą w sercu i głowie, w dniu świątecznym i niedziele bawili się, jedli, pili, jeździli z kochankami i powróciwszy, często chorowali, nudzili sobą i mówili, że życie ciężkie, że nie ma w niem przyjemności, że żyć nie warto. — W tedy porównywałem ich z sobą, napotkałem, znalazłem raczej różnicę mego i ich życia, odgadłem przyczynę mego szczęścia a ich znudzenia i znowu dziękowałem Panu Jezusowi za moje szczęście i myśli i prosiłem go, aby mi je na całe życie zachował. — Kiedy w święto albo w niedziele wstaliśmy wszyscy rano, ja żeby nie spóźnić się na pierwszą mszę u Pana Jezusa, bo co też to za msza mój Panie, takiej drugiej nie ma w całej Warszawie; oni ubierali się, zawijali włosy, oblewali pachnidłami aby wybiedz na miasto, szalić, bawić się, żyć po miejsku i miastem. — Idąc do kościoła i myśląc o moich kolegach mówiłem nieraz

do siebie: nic nie zazdroszczę z ich życia, ich życie płocze, czcze, cielesne. — Jednak oni kochają, są wzajemnie kochani — to musi być wielka przyjemność kochać — mimowolnie westchnąłem, bo pamiętaj pan, miałem wówczas lat dziewiętnaście; lat dziewiętnaście, co to za skarb uczuć, a moje wszystkie były czysto rzewne, exaltowane nawet.

Pewnego razu, gdym tak szedł i myślał, i z myślą o świecie, o miłości, o kobiecie, wszedłem do kościoła; w kaplicy przed panem Jezusem modliła się kobieta, nie kobieta, panienka, młoda, piękna jak anioł, niewinna, śliczna blondynka. — Spojrzałem na nią, westchnąłem i nie mogłem się modlić i całe nabożeństwo na nią tylko patrzyłem. — Modliła się szczerze, choć z książki, ale z uczuciem wzdychała z głębi piersi i łzy często spadały na książkę — zabolalo mię serce, łzy także mnie zakreściły się w oczach i pomyślałem sobie: to pewnie sierota, może bez ojca, bez matki, kawal-

ka chleba, bez przytulku — może tak nieszczęśliwa jak ja, może tak czuła jak ja, może to ja drugi — i mówiłem do siebie: jakbym ja był szczęśliwy, gdybym ją mógł pocieszyć, gdybym mógł łązy jej otrzeć, gdyby... i chciałem powiedzieć jej aby ufała Panu Jezusowi, aby modliła się doń szczerze jak ja się modliłem, a on ją wysłucha — chciałem jej opowiedzieć całą moją historią aby ją uspokoić, pocieszyć, upewnić. — I nie miałem na to odwagi, bo jej nie znałem, byłem jej obcy i tylko ta myśl że ona nieszczęśliwa i z nieszczęścia jest moją siostrą, tak mię ośmielała że sądziłem jakbym ją znał oddawna.

Przez całe nabożeństwo jednego niezmqwilem pacierza, na nią tylko patrzyłem i wyszedłem za nią z kościoła — nie mogłem się wstrzymać abym nie poszedł, za nią, bo ją pokochałem, bo była moją siostrą z nieszczęścia. — Czyż moja wina, że miałem serce, że uczuwałem boleść, która w obcej, chłodnej mięszkała piersi.

Szedłem za nią ulicą S. Jana, starem miastem, aż ona zatrzymała się na ulicy Gołębiej, weszła do jednego z domów, wstąpiła na wschody, szła wysoko, najwyżej bo aż na trzecie piętro. — Długo stałem przed domem, patrzyłem w okna, czy jeszcze nie ujrzę, czy jeszcze łez jej niezobaczę — tak piękną była ze łzą w oku!

Po południu przyszedłem do tego domu, szukałem stróża, znalazłem, wypytałem się o tę nieszczęśliwą w moim przekonaniu dziewczynę i dowiedziałem się że mieszka na trzecim piętrze z matką staruszką, którą z pracy rąk utrzymuje.

I powróciłem do domu, zabrałem ile miałem pieniędzy, kupiłem płótna, perkalu; zaniósłem do niej, prosiłem żeby mi uszyła koszulę, kołnierze — poznałem ją, jej matkę biedną staruszkę, rozmawiałem długo z niemi poznałem się jednym wyrazem.

Nie zawiodły mię moje przeczucia — dziewczyna musiała być nieszczęśliwa, nie sercem, bo te uważałem czystym, szczerem,

skromnem i czulem, ale niedostatkim, ale nędzą — Wszystko wspierało moje domysły, maleńka, ciemna stancyjka, zaledwie pomieśczała w sobie łóżko ubogie, ale białem nakryte prześcieradłem, stolik, dwa stolki i polamaną kanapę — staruszka była ubogo ubrana, a nawet pracowany i wypłowiały szlafroczek dowodził braku odzieży.

W przyszłą niedzielę, znowu zastałem ją *w kościele* w kaplicy Pana Jezusa, modliła się jak dawniej, i płakała rzewnie jak pierwój. Znowu nie zmówiłem jednego pacierza, znowu wyszedłem za nią, ale tym razem powitałem, zacząłem rozmowę, odprowadziłem do domu.

Mile mię przyjęła staruszka, jój córka była wesolą i często na mnie spoglądała. Rozmawialiśmy dość długo staruszka opowiadała jakim sposobem przyszła do ubóstwa, mówiła że mąż jój zginął pod Lipskiem, że wierzycciele wyzuli ją z malej wioseczki, że przyjechała do Warszawy

starać się o wsparcie, że jej proźby nie otrzymały skutku, że musiała pozostać aby żyć z córką pracą rąk kochanej Emilii, tak bowiem nazywała swą córkę.

Słuchałem z zajęciem opowiadania staruszki, lzy nabiegły mi do oczu, widziałem podobieństwo niejake jej z przeznaczeniem smutném moich rodziców i zdawało mi się że jakieś jest powinowactwo pomiędzy nami.

Z kolei i ja opowiedziałem jej moją historią, słuchały jej z zajęciem matka i córka, obiedwie płakały, a ja w końcu dodałem:

— Panno Emilio, i ty się tak modlisz do Pana Jezusa, jak ja się modliłem, jak modłę się jeszcze za jego łaskę i ciebie on wysłucha i ty będziesz szczęśliwą.

— Boże to spraw, zawołała rozczulona matka, daj mi doczekać z niej pociechy.

Zabawiłem dość długo w izdebce staruszki, rozmawiałem długo z Emilją, patrzyłem na nią ustawicznie i gdym wychodził,

Emilja uścinęła mi rękę, a staruszka prosiła abym ich często odwiedzał.

Wybiegłem na ulicę z rozognioną twarzą mocno bijącym sercem i rozkołysaną wyobraźnią. — Przyszedszy do domu, usiadłem w kącie podparłem się i cały wieczór marzyłem o Emilii, czułem ustawicznie jej uściśnienie i jak Indjanin w niemój kontemplacyi wieczór spędziłem. — Długo zasnąć nie mogłem, bo Emilja była w mych myślach, w mój głowie, w mój sercu, w mych żyłach, jednym wyrazem była we mnie całym.

Nie mogłem czekać niedzieli, tydzień czasu wydawał mi się wiekiem, a wiek czy można żyć bez kochanki? — Pamiętaj pan, że miałem lat dziewiętnaście; czegoż się pan uśmiechasz?... wszak byłem młody, i była to pierwsza miłość zapewne mi nie do twarzy te uczucia, i których przecież jak widzisz jeszcze z upodobaniem wspominam. — To cię może przekonać mój panie, że miałem ludzkie serce i że czuć umia-

lem. — Czuję za wiele, za mocno, a ludzie mię zawiedli, nie zrozumieli mię; ja nie miałem sposobu ani ich poprawić, ani ich o moich uczuciach przekonać; oni nie chcieli być takimi jakim ja byłem, ja zaś nie mogłem jak oni, musiałem więc jak oni — musiałem więc jak jedwabnice obwinąć się przedzą własnego żywota, żyć sam w sobie, samym sobą, własnym sercem i własną duszą. — Na sobie a nie na nich, szczęścia mojego zasady położyć. — I chodziłem często do Emilii i bawiłem coraz dłużej — jakże nie miałem chodzić, jakże nie miałem tam bawić?... Kochałem Emilję, ona mię nawzajem i tak mi było rozkosznie być przy niej.

Mówiłem jej często, nie samej, ale przy matce, która słuchała z radością, z rozweselonym okiem, zbijającym sercem:

— Emiljo, ty będziesz moją, będę pracował na ciebie, nie będziesz znała niedostatku, nie będziesz jak dzisiaj czuwała po nocach.

Emilja uścisnęła mi rękę tak, że aż serce zadrzało, aż krew zawrzała w moich żyłach i zdawało mi się, że ja i ona jedną zaklętą żyjemy duszą.

I od téj chwili zdawało mi się, że z nią jestem nierozzerwanym węzłem złączony, że ona do mnie miłością, nieszczęściem, prawem należy, — że ja rozdzielić się z nią, zapomnieć o niej nie mogę, nie powinienem. — I wszystko co mam, mówiłem, do ciebie należy, i wszystkiem co mieć będę możesz dowolnie zarządzać.

Nowym uściskiem, jeszcze czulszym jak pierwszy, opłacała Emilia poświęcenie się moje, a ja wybiegłszy na ulicę byłem szalony, obłąkany, miłością i szczęściem.

Taka to jest słabość człowieka, takie zapomnienie, gdy szal miłości nas opanuje; żaden okup prawda, nie byłby wielki, gdyby ten szal trwał całe życie, na co gdyby mógł przetrwać choć naszą młodość, choć rok jeden; ale to jest gorączka, która albo zabije, albo przesiliwszy się osłabi, wy-

niszczy, i goryczą całe życie zaprawi. — bo odbierze wiarę, zabije ufność, jak nazywasz mój Panie, zupełnie życie nam rozczaruje. — Nie dała sobie przypominać Emilja, że wszystko jest nam wspólne — żądała kapelusza i sprawilem go — było jój w nim tak ładnie, ona była nim szczęśliwa i mnie to bardzo cieszyło — pragnęła sukni jedwabnej, ustroilem w nią śliczne jój ciało, patrzyłem na nią z zadowoleniem, z rozkoszą nawet, chciała widowiska w teatrze, prowadziłem ją aby się napatrzyła, naśmiała, nabawiła do woli; chciała przechadzki, podwieczorku, szlichtady, i o to się starałem, bo żyłem jój tylko uczuciami, jój radością, jój szczęściem. — Kochałem ją, jakże mogłem żyć inaczej — tak mój Panie, pojmo wałem miłość i takiej wymagałem wzajemności.

Żyjąc samą rozkoszą i szczęściem mojej Emilii zapomniałem o mojej matce, o moim bracie, o moich biednych siostrach, zapomniałem że oni może, pewnie raczej, wy-

glądają z utęsknieniem odemnie wiadomości, listu, zasiłku — zapomniałem, że moja matka zalewa się łzami i biedne dzieci wyglądają kawałka suchego chleba — zgola zapomniałem o sobie, o matce, o rodzeństwie, a żyłem myślą o mojej tylko Emilii. — Lubiła stroje, i wszystko było jej do twarzy, myślałem że mnie chce się podobać i przebaczałem tę słabość.

Nasza miłość trwała rok przeszło, ja marzyłem o mojej przyszłości, o zaślubieniu Emilii, ona sama często wzdychała i mówiła: jakże będziemy szczęśliwi, gdy nas ołtarz na wieki połączy.

Myślałem ja o tém i myślałem najszczerzej — moje ubóstwo nie było mi wcale na przeszkodzie, nie myślałem nawet o nim pragnąłem zawsze mierności; miałem potrzeby nader ograniczone i o chleb dla siebie i żony nie trzoszczyłem się wcale. — Chciałem tylko, żeby moja żona miała swój pokój, swój piec, swoje okno i swój komin —

na to potrzeba mi było nie co zaoszczędzić
mój pensyi.

Wśród tych skromnych i szczerych my-
śli, przyszedłem pewnego dnia do Emilii,
zastąłem ją wesolą, jaśniejąca radością, a
i matki oko malowało zadowolenie.—Ucie-
szyły mię ich wesole twarze, chciałem
podzielić ich radość, gdy Emilja rzekła:

— Patrz Augustynku, jaki śliczny mam
kapelusz, to pióro kosztuje trzy dukaty, a
salopa, patrzaj, wszak to ciężka materya—
jaka robota! — a moję suknię czy widzia-
łeś?... podług najświeższej zrobiona mody,
to szalino Augustynie—jak mi w niej do
twarzy żebyś wiedział. — Zupelnie wyglą-
dam jak Pani. — Cóż ty na to Augustynku,
mówiła do mnie, zdaje się że jesteś smu-
tny, co tobie?..

I pogłaskała mię pod brodę.

Milczałem, serce mię zabolalo, jakies
dziwne myśli chodziły mi po głowie i słowa
nie odpowiedziałem.

Emilja przymierzala suknię, kapelusz,

salopę, przeglądała się we zwierciadle i była tak wesola, że miejsca sobie znaleźć nie mogła — ja posiedziałem chwilę milczący, smutny, i wyszedłem nie pożegnawszy jej nawet.

Zacząłem chodzić po ulicach, z jednej na drugą — a czegoś mi brakowało i byłem bardzo niespokojny — myślałem sobie: zkad Emilka wszystko to mieć może?.. ja nie dałem jej pieniędzy, ona zarobić wstanie nie była tak wiele — lękam się czegoś — gdybym jej zapytał?... może się obrazić, jak można być tak podejrzliwym — i chciałem się uspokoić nieco, chciałem wmówić w siebie, że Emilka tylko mię kocha, że od nikogo nicby nie przyjęła i znowu przychodziło mi na myśl: to Warszawa, stolica wielkie miasto, kobiety, tak płochy, tak zepsute, tyle zrzeczności zepsucia, tyle przykładów zachęcających do złego — i chciałem wszystko przeniknąć, wszystkiego się dowiedzieć. — Pobiegłem znowu na gołębią ulicę, wpadłem do

mięszkania Emilji i nie zastałem jej w domu, nie zastałem jej kapelusza, jej sukni, jej pięknej salopy; wyszła na miasto, wystrojona, wyświeżona, wyszła bezemnie!

Wyrzekłem kilka wyrazów niezrozumiałych do staruszki;— i było mi duszno w małej stancyjce i znowu wybiegłem na ulicę, za miasto.

Była to niedziela i miałem dzień wolny; po południu, znowu przyszedłem do niej i nie było jej jeszcze: staruszka uważała moją niespokojność i zapytała co mi takiego?... Nie umiałem jej na to odpowiedzieć, zbyłem ją tylko i znowu wyszedłem.

Wieczorem, byłem raz jeszcze w mięszkaniu Emilji i nie zastałem jej— powróciłem do domu, zły niespokojny i całą noc nie spałem.

Drugiego dnia w wieczór, gdy sklep zamknięto, poszedłem do niej i zastałem gdy już spać miała.— Twarz moja malowała cierpienie i ukryć go nie mogłem.

— Co tobie Augustynku? rzekła do mnie

Emilja, matka mówiła mi żeś wczoraj był tu kilka razy i że byłeś bardzo niespokojny.

— Tak jest, odrzekłem zimno.

— Może się gniewałeś żeś wychodziła? zapytała ujmująco.

Zamilkłem a ona mówiła:

— Pani u której robię często, prosiła mię na obiad, po obiedzie zabawiliśmy bo było kilka osób. — Mój Augustynku, bądź wesoly, bo serce mi się kraje; siadaj, jak mię kochasz, powiedz co tobie takiego?.

Usiadłem przy niej, i nie czekając długo, zapytałem.

— Emiljo, my nie jesteśmy dla siebie obcy, kochamy się, nie powinniśmy mieć żadnych tajemnic — Emilko, tyś mi nic nie powiedziała, zkąd masz te piękne stroje?..

— Zkąd mam?... rzekła jękając się nie co, moja najdroższa pierwsza i ostatnia kochanka. — Po chwili dopiero uśmiechając się powiedziała:

— Wszak wiesz, że pracuję, a sam powiadasz, że praca tylko z bogaca.

— Prawda, odrzekłem oburzony; lecz zarobek jest zawsze stosunkowy do pracy, a twój zdaje mi się za wielki — przy tém, nie każdemu wszystko przystoi i co dla pani jest skromném tylko, dla ubogiej, jak ty dziewczyny, nietylko zbyteczném, ale i śmieszném nawet.

— Ale ci powiadam że zarobiła, odrzekła z uśmiechem.

— Umilkłem — nie pytałem więcj, bo Emilia jak uważałem, nie życzyła sobie, abym wiedział z kąd pochodzą jej stroje i pewno nie wykryłbym prawdy, bo kobiety dobrze ukrywać umieją.

Kiedym wychodził, chciałem ją w rękę pocałować i dotknąłem pięknego kosztownego pierścionka.

— A to z kąd? zawołałem.

— Zarobiłam, odpowiedziała z uśmiechem Emilia.

Wyszedłem — biegłem szybko i powtórzałem: suknia, kapelusz, salopa i pierścio-

nek, to wszystko zarobione — ale cóż to za wielkie korzyści!

Podejrzanie wkradło się do mego serca, zdawało mi się, że mię kamień przywala, że mię coś dusi, że nie dojdę do domu i zawołałem; oh! ludzie, ludzie, oh! kobiety, kobiety!... i zapłakałem, bo chociaż miałem już lat dwadzieścia, ale serce miałem czyste, uczucia nie starte jeszcze i płakać mogłem.

Tydzień cały nie byłem u niej — w niedzielę, modliłem się do Pana Jezusa; nie było na mszy Emilji, nie dziwiło mię to wcale, ona już oddawna się nie modliła; po nabożeństwie, poszedłem do jej mieszkania.—Biedna staruszka, jej matka siedziała przy oknie i rzewnie płakała, a nie było jej córki.— Wszedłem i nie śmiałem ust otworzyć, nie śmiałem zapytać o nic, aż stara rzekła:

— Jakie nieszczęście Panie Augustynie, Emilki trzeci dzień nie ma w domu, nie wiem co się to znaczy?.. czy ją jakie nie spotkało nieszczęście?..

— Trzeci dzień! mówisz Pani, zawołałem.

— Choć chora, chodziłam po mieście, dowiadywałam się u znajomych — przepadła jak kamień w wodzie.

— Ah! to okropnie — cóż to ma znaczyć? mówiłem.

— Ja sama tego nie pojmuję, właśnie czekałam niecierpliwie żebyś Pan przyszedł, może mi Pan poradzisz.

— Ja sam nie wiem co począć? odrzekłem, jednak pójdę do jej przyjaciółki, tej Józki, co to mieszka w Starem mieście — tam ona najwięcej bywała, z nią się najwięcej przyjaźniła.

— Zmiluj się Panie Augustynie — zupełnie przepomniałam o pannie Józefie — biegnij, dowiedz się, pociesz nieszczęśliwą matkę.

Pobiegłem co mi tchu stało na Stare miasto; — nie wszedłem, ale wpadłem do mieszkania Panny Józefy, gdzie zastałem dwie

jéj przyjaciółki, ale nie było pomiędzy niemi Emilji.

Jeszcze nic nie przemówilem, gdy Panna Józefa rzekła:

— Jak się masz Panie Augustynie, jakże się pocieszysz po utracie Emilki? — żałuję Pana, żałuję — Takim Pan byłeś czułym kochankiem i musiałeś chyba płakać po niewiernéj kochance.

— Niewiernéj! mówisz Panno Józefo, zawołałem.

— Alboż to nie wiesz Panie Augustynie? nie udawaj, nie udawaj.

— Nic nie wiem, właśnie przyszedłem do Panny..... mówilem gdy zęby aż mi szczykały ze złości.

— A jéj matka?....

— Ita nic nie wie, właśnie płacze i jest bardzo niespokojna.

— I ona udaje, odrzekła potrząsając głową Panna Józefa.

— Nic nie wie o swojej córe, zaręczam.

— Być może — Emilka to zrećzna wcale

dziewczyna, zje licha kto się od niej co dowie; — no siadaj Panie Augustynie, opowiem ci o twojej Emilce, ja o niej wiem doskonale.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odrzekłem.

— Może napijesz się likjeru, doskonały, różany, moje przyjaciółki dopiero piły.

— Ja nigdy nie pijam.

— Skromny jak panienska! rzekła z uśmiechem Panna Józefa, po chwili dodała: — Przy tém w smutku, to nic się nie chce; ale bądź wesołej myśli Panie Augustynie, łatwo znajdziesz kochankę, przyznam się, Emilka nie była szczególnego, włosy miała białe jak len, nosek pękaty i nie wiele rozumu.

— Miałaś mi panna Józefa powiedzieć o..... mówiłem.

— Zaraz, zaraz, trzeba pana wprzód pocieszyć — dalibóg taką jak Emilka, a nawet piękniejszą jeszcze, łatwo pan znajdziesz — ja sama w niczem jej nie ustąpię,

albo patrzaj pan, moje przyjaciółki... każda z nas będzie pana tak kochała, a może jeszcze czuliej jak Emilka.

— Dziękuję— odrzekłem— ja stary surdut najlepiej lubię, bom się do niego przyzwyczaił— i psa, gdybym go miał za nie w świecie bym nie ustąpił.

— Idzie ci tylko Panie Augustynie, mówiła Panna Józefa, a przyjaciółki jej cicho rozmawiały z sobą, a później zachychotały na całe gardło— o Emilkę ci tylko chodzi? trzeba przyznać że rzadkim jesteś kochankiem; ale powiem ci szczerze, ona nie warta twojej miłości— ona ciebie zwodziła.

— Od tygodnia się na to przygotowałem, chcę tylko wiedzieć gdzie się znajduje.

— Musiałeś widzieć u niej te piękne stroje i musisz wiedzieć z kąd je wzięła?

— Pytałem, lecz nic mi nie odpowiedziała.

— Anusiu, Karolciu, patrzcie jaka mądra, zawołała Panna Józefa.

— Mniejsza o to rzekłem; chcę wiedzieć gdzie się teraz znajduje.

— Te suknie, te stroje musiały być od kogoś, a ten ktoś pewnie ich darmo nie dał?

Zamilkłem, a serce strasznie mię bolało, bo pojmujesz Pan, co to być zawiedzionym, zdradzonym, przez tego jeszcze kogo kochamy, zdradzony raz pierwszy w życiu!

— Ten ktoś, jak mówię, nie dawał darmo kapeluszy, sukien i pierścionków, rzekła Panna Józefa, — otóż ten ktoś wziął ją do siebie i ona z nim wyjechała.

— Któż to jest ten ktoś?.. zapytałem z boleścią.

— Jest to wielki pan, kawaler, już nie młody; ale jej będzie dobrze u niego i jeżeli ją Panie Augustynie szczerze kochałeś, nie powinieneś się smucić bo będzie bardzo szczęśliwa.

— Ale jego nazwisko?...

— Tego ja nie wiem.

— Gdzie mieszka?

— I tego powiedzieć nie umiem.

— Dziękuję Pani i żegnam.

— Zostań Panie Augustynie, pociesz się z nami po Emilce, dalibóg my od niej wcale nie gorsze.

Nie słuchałem téj mowy, która mię oburzała, całą ochydę przedstawiała spodlenia kobiety; i biegłem wściekły, zły ze ściśnionemi pięściami. — Chciałem iść na koniec świata, znaleźć niewierną kochankę, zabić ją, nie—dręczyć bez końca, cieszyć się jej cierpieniem.

Myslałem, czy iść do matki i donieść o spodleniu jej córki, wyrzucić hańbę jej dziecięcia na oczy, zemścić się na matce za niegodziwe dziecko. — I pomyślałem sobie: Co ona winna, czy i ona nie cierpi, czy nie jest ukarana, jeżeli na to zasłużyła?— I żal mi się zrobiło starej i nie poszedłem, aby jej powiedzieć o córce, którą wzgardziłem w téj chwili, którą widziałem niegodną mego wspomnienia. — Ja kochałem ją, jak moją duszę, ja dałem jej moje serce, od-

dałbym moje życie nawet; ona przeniosła nademnie hańbę, sromotę, spodlenie za marny płatek, za garść pieniędzy!

I powiedziałem sobie od téj chwili:—kobięta niegodną jest miłości czystej i stałej, ona jęj nie pojmuje, pojąwszy, wzgardzi nią dla błyskotki — zatrjuje tobie życie, zatrjuje życie familji, ojca, matki; pokocha spodlenie, zabije swą sławę, swoją przyszłość dla marnego kapelusza i szala.

Zapomniałem o Emilji, bo nie chciałem myśleć o niej, nie tylko o niej, ale o żadnej kobięcie. — Bałem się ich spojżenia, jak pobożny boi się wspomnieć szatana, nie wierzyłem ich uśmiechowi, jak się nie wierzy szczerości kota; w ich każdym kroku widziałem chytróść, w każdym wyrazie słyszałem fałsz i obludę. — Nieniena-widziłem kobięć, bo nikogo nie niewawidzę, ale chciałem być od nich z daleka, chciałem się ukryć przed ich siđłami. — Otóż to mój Panie dla czego się nie ożeniłem.

— Cóż się stało z matką Emilji? zapytałem.

— Umarła wkrótce ze smutku i nędzy, odrzekł z obojętnością kupiec.

— A jej samój nie widziałeś Pan więcej?

— I owszem — w parę lat, gdy własny sklep już miałem, pewnego dnia, weszła jakaś kobieta blada, zmieniona, i nędznie ubrana — powitała mnie śmiało, radośnie, jakby najszczęsza, najlepsza przyjaciółka, — była to Emilja.

— Czegóż żądała od Pana? zapytałem Pana Augustyna.

— Nic żądać nie śmiała, choć może z tą myślą weszła do sklepu, bo zaledwie spojrzalem na nią i wyszedłem. — Proszę jak to czas zeszedł na rozmowie, już się ściemnia, a chciałem panu moje kwiaty jeszcze pokazać.



X.

Drugiego dnia świąt, była pogoda, a nawet ciepło; Pan Augustyn od samego rana zajęty był ze swymi officyalistami i wieśniakami, którzy w tysiącnych do niego przychodzili potrzebach i we wszystkich pomoc i radę znaleźli. — Pozostałem więc sam i nie gniewałem się o to wcale, tak mi było potrzeba pomyśleć o tém, co mi Pan Augustyn powiadał, rozważyć kaźden jego wyraz, przejąć się kaźdą myślą, po-

dziwiać to życie, tak skromne, pracowite, a razem tak użyteczne. — W życiu jego widziałem filozofją praktyczną, w postępowaniu rozsądek i najlepsze serce. — Jakżem uwielbiał tego człowieka! — Około południa przyszedł Pan Augustyn, zaprowadził mnie do ogrodu, okazał swoje prześliczne kwiaty, jasne, woniejące, rozkwitłe, jak gdyby w maju. — Słyszeliście zapewne moi czytelnicy o pięknych kwiatach w Falentach, lubicie je zapewne, ja sam napięścić się niemi nie mogę, opisywałbym je najchętniej; ale podobno znudziłem was już moją powieścią i trzeba zdążyć do końca.

— Jest to moja słabość, rzekł Pan Augustyn gdyśmy wychodzili z ogrodu, jedyna moja rozkosz patrzeć na kwiaty, pielęgnować je, pieścić się z niemi, żyć w kwiatach. Nie pojmuję nawet przyczyny, z kąd we mnie zrodziła się ta niewinna, ale zawsze kosztowna namiętność. — Być może, że kwiat przedstawia nam wiosnę, a moja młodość była tak czarująca, tak szczęśliwa nadzieją

i pracą. — Nadto, człowiek mimo całej filozofji, zawsze jest człowiekiem, zrodzony na ziemi, z ziemi zawsze coś kochać musi. W pierwszej młodości, lubi zabawki, kwiatki, cacka — w dojrzałym, pragnie żyć dla przyjaciół, dla kochanki i dla nich się poświęcić; — w męzkim wieku, ma żonę, dzieci i w nich na nowo żyć zaczyna. — W starości, jeżeli mu braknie żony i dzieci musi szukać jakiego nowego żywioła. — Ten polubił próżność i dumę, ubiega się za zaszczytami, jak kobiéta lub dziecko za błyskotką; tego dusza wcieliła się w pieniądze, stwardniała i stała się zimną jak metal; ten polubił konia; ten zakochał się we psie, ten w kieliszek, a ten znowu w karty przeniósł swą duszę. — Jakkolwiek bądź, ale dziękuję Bogu że mi tak niewinne dał upodobanie — kochać kwiatek! czy to Pan pojmujesz?...

Dziwiło mię nie raz patrząc, jak kobiety aż do szaleństwa kochały swoich psów lub kotów; całowały je, pieściły się z niemi.

razem prawie z niemi jadły, we własnej pozwalały sypiać pościeli; a nawet, czego bez oburzenia widzieć nie mogłem, nie sypiały po nocach, gdy ich ulubiony piesek lub kotek zasłabł, najobojętniej jednak patrzyły na schorzałego sługę, lub na cierpiącego kalekę. — Dla czegoż lepiej nie zająć się człowiekiem? mówiłem, dla czegoż lepiej nie kochać człowieka? i badałem tój dziwaczności przyczyny. — Otóż mój Panie co zauważałem; zwykle te kobiety nie miały mężów i dzieci, mając mężów, nie kochały ich szczerze. — Po największej części, młodość ich przeminęła bezbarwnie, że z niej nawet miłych nie wyniosły wspomnień — jednak zawsze potrzebowały do czegoś się przywiązać, coś kochać; nie kochały ludzi i pokochały psy i koty. Tak mój panie, miłość jest wielkim łańcuchem łączającym ludzi z sobą i z światem, im ten łańcuch więcej wolnieje, tém świat staje się gorszy. — Powiedz sam mój Panie, ile to cnót wyradza jedna miłość

małżeńska, tak drobna tylko cząstka miłości całej ludzkości! — Czy zdarzyło ci się widzieć kiedy dobre małżeństwo?.. nie dziw się Panie mojemu pytaniu, dobre małżeństwo, a dobre jak ja go rozumiem, to rzadkie zjawisko na świecie. — W dobrem małżeństwie, a ono jest wtedy, gdy żona kocha męża nad wszystko, a on ją nawzajem; nie ujrysz zdrad, przewierstw, podłości — mąż jest pracowitym, pilnym, rzetelnym, godnym członkiem towarzystwa — żona jest kobietą czułą, dobrą, uszczęśliwiającą męża, żyjącą w dzieciach, myślącą o nich, pragnącą ich szczęścia, a szczęścia uzasadnionego na cnotcie. — Dobry mąż i dobra żona, dali życie licznemu rodzeństwu, to rodzeństwo kochając, a kochając rozumnie, bo zła żona, zła jest matką, a zły mąż, złym ojcem być musi, wychowali je cnotliwie, usposobili do pracy, przeznaczyli do szczęścia; z tego rodzeństwa powstają dobrzy znowu mężowie, dobre żony, dobrzy bracia i sio-

stry, godni członkowie społeczeństwa, dobrzy obywatele. — Ileż to korzyści mój Panie z miłości jednej kobiety i jednego mężczyzny! — Weź tylko przeciwny przykład mój Panie, jakież okropne skutki z nienawiści żony i męża — tego i téj życie zatrute, nieporządne, często gorszące, źle wychowane dzieci, a następnie złe córki, zli synowie, mężowie, gorsi obywatele, a gorsi jeszcze członkowie ludzkości. — O miłości całego rodu ludzkiego nie mam co mówić, musiałeś się pan tego dosyć nacytać, tylu o tém i dobrze nawet wielu pisało; jednak to głos wołającego na puszczy, jednak to groch rzucony o ścianę. — Bo ileż to człowiek kochający ludzkość, może dla niej zrobić dobrego!... Święty nasz prawodawca, miłość zasadą świata nazywał, ale miłość ta nie powinna być ową miłością, jak ją sobie w ogóle świat tłómaczy. — Jest ona w sercu człowieka, a człowiek nigdy nie zbłądzi, gdy serca posłucha.

Długo jeszcze mówił Pan Augustyn, aż rozmowę przerwał służący, prosząc na obiad.

Po obiedzie, jeszcze rozmawialiśmy z sobą, o godzinie czwartej zaszły konie i wyjechaliśmy do Warszawy, poczciwy bowiem Pan Augustyn tęschnił do swego sklepu, jak dwudziestoletni kochanek bo pierwszój kochanki.

Tego samego dnia, przebrany w swój wytarty sieraczkowy surdut, stał za kassą, ważył, zawijał, sprzedawał.

XI.

Było to w miesiącu Lipcu, w kwartał po świętach, które spędziłem u P. Augustyna w Falentach, kiedy pewnego dnia, wszedłem do sklepu, podług zwyczaju, kazałem dać kieliszek wina i nie widząc za kasą właściciela, zapytałem o niego, rozumiejąc że chory, pierwsze to bowiem było zdarzenie, że go nie zastałem w sklepie.

— Pan ubiera się w mieszkaniu, odpowiedział mi żywy, rumiany chłopczyk.

— Ubiera się! pomyślałem sobie — to szczególniejsza, ważny jakiś interes zmusza go pewnie do wyjścia. — Pan Augustyn nie zwykł się ubierać na próżno, szkoda że go dzisiaj widzieć nie będę — i zacząłem pić wino.

Po nie długiej chwili, wszedł Pan Augustyn, tak przebrany że go nie poznałem, niestrojno jednak, ani bogato, ale ogolony, w pięknym czarnym surducie i kapeluszu.

— Jakże jestem kontent, że pana spotykam, odezwał się do mnie podając rękę, nie godzi się zapominać o dobrych przyjaciółach, tak dawno Pan u mnie nie byłeś, a tyle mam ci do powiedzenia.

— Żałuję mocno odrzekłem, że Pan wychodzisz w tej chwili, jestem niecierpliwy i chciałbym już to wiedzieć co Pan będziesz łaskaw objawić.

— Jeżeli Pan masz czas wolny, pójdziemy razem — dzień prześliczny i może chwilkę spoczniemy w Saskim ogrodzie, to nam nikt nie przeszkodzi.

— Najchętniej służę Panu, odrzekłem, ukończywszy mój kieliszek wina, wziąłem kapelusz i wyszliśmy razem z Panem Augustynem.

Na twarzy jego malowała się radość i wewnętrzne zadowolenie, podług zwyczaju szedł spiesznie i obadwaśmy milczeli.

Wszedłszy do Saskiego ogrodu, Pan Augustyn rzekł do mnie.

— Jakie to szczęście, gdy człowiek może co zrobić dobrego! — Gdyby ludzie raz tylko zasmakowali w tej rozkoszy, woleliby rzec się świetnych balów, kosztownych strojów i kłopotącego blasku. — Nie uwierzysz Pan, mówił dalej kupiec siadając na ławce pod kasztanem, jak jestem w tej chwili szczęśliwy, niczego nie pragnę, tak jestem kontent, że nawet wypowiedzieć tego nie mogę.

— Jakże pragnę cieszyć się z Panem razem, odrzekłem — czysta radość przebija się z pańskiego oka, to też czysta musi być jej przyczyna.

— Najczystsza mogę Pana upewnić. — Wystaw sobie Pan, jakie mię szczęście jest temu kilka dni spotkało. — Znalazłem Pisarzową z Falent, tę samą pisarzową przypominasz pan sobie, co to kiedyś szedł piechotą do Warszawy wzięła mię jadąc z mężem na wózek, nakarmiła, ogrzała; u której spałem tak smaczno i wygodnie

— Ją pan znalazłeś? zawołałem, jakież szczęśliwe zdarzenie.

— Najszczęśliwsze — to mię tak pocieszyło, jakby moja matka powróciła z tamtego świata, bo jakaż też pocziwa kobieta była pisarzowa! jak ona mną się zajmowała jak troskliwie odziewała mię swoją salopą. Oh! Panie takich rzeczy nigdy opłacić, nigdy zapomnieć nie można. — Wszak to ona wszystko robiła bezinteresownie, robiła dla swego serca, dla mnie, dla ludzkości — ona nie liczyła że ja jęj kiedy to oddam, że ja jęj zapłacę za to; ona to wszystko z serca zrobiła. — Wiesz Pan, ja zawsze tak myślałem; kto mi da sam chleb tylko

oddam mu chleb nawzajem, kto da pieniądz oddam mu go w trójnasób— ale kto da chleb z serca i z sercem temu odplacić nie można ani pieniędzmi, ani chlebem, ale sercem, łzami, uczuciem, wieczną pamięcią. Kto nic nie dał, ale łzę tylko uronił i temu odplacić nigdy nie można; ale nie łzę pańską, bo to jest woda, która płynie aby płynęła. — Otóż wystaw Pan sobie, ja tę samą kobietę znalazłem; kiedym ją zobaczył, zdało mi się że odmłodniałem, że jestem takim jak wtedy dzieckiem, całowałem i całowałem jej rękę— biedna tylko kobieta, była cierpiącą i teraz z łaski Boga ma się nieco lepiej.

— Jakim że ją Pan wynalazłeś sposobem? zapytałem.

— Posłuchaj Pan. — Kilka dni temu, przyszła do mego sklepu młoda, piękna dziewczyna, skromnie ubrana i skromnie bardzo patrząca. Podobała mi się z pierwszego wejrzenia. Żądała ona, aby jej sprzedać starego wina za złoty. Chłopcy powiedzieli

jéj że za złoty starego wina dostać nie można, usłyszałem to i spytałem się na co i dla kogo potrzebuję starego wina?— Opowiedziała mi, że jéj matka bardzo jest chora, że doktór kazał jéj używać stare wina, i że więcéj dla kupienia go nie ma— opowiedziała mi daléj, że matka jéj jest wdową, że żyją z pracy rąk i że są bardzo biedni. Przypomniała mi się moja młodość, lzy stanęły mi w oczach, bo dziewczyna płakała aż lza lzę pobijała, tak samo jak ja nieraz z matką płakałem; kazałem przynieść butelkę starego wina i oddałem go dziewczynie zapytawszy wprzódy jak się nazywa jéj matka i gdzie mieszka.

Nazajutrz poszedłem, raczój Bóg mię tam zaprowadził, żeby pocieszyć ubogą matkę i wspomódz jeżeli tego będzie potrzeba, bo mój Panie, ja nigdy nic na ślepo nie daję. Wyobraź sobie Pan, gdy w choréj poznałem ową pisarzową, jaka to była radość! cośmy się nagadali, co nacieszyli z sobą!

— A jój córka?...

— Wyborna dziewczyna, co w tój to nie ma fałszu — matka jój była pocziwa kobiéta i pocziwie ją wychowała. — Czy Pan nie dziwisz się temu, że ja idę tam donich i idę wystrojony że aż mi ciężko. — Może śmiać się ze mnie będziesz starego? czy uwierzysz ja idę żądać ją za żonę.

— Za żonę? zapytałem zdziwiony.

— Nie inaczej, chcę w niej wynagrodzić jój matkę, chcę ją i matkę uszczęśliwić.

— Szlachetny czyn!

— I ja tak sędzę — dla tego zrobię to szaleństwo, które mi ludzie nie tak prędko przebaczą. Może ją uszczęśliwię i ona mię nawzajem; jeżeli się omylę, to taka będzie wola Boga.

— W takim interessie nie godzi się zabierać czasu, odrzekłem, szczęśliwego powodzenia — i chciałem odejść, gdy kudec rzekł jeszcze do mnie:

— Przyjdź Pan wieczorem, opowiem ci wszystko.



XII.

Wieczorem wszedłszy do sklepu, zastałem kupca za kassą, w zwyczajnym swoim stroju, był wesoły i uśmiechnął się do mnie.

— Przejdź Pan do gościnnych pokojów, ja przyjdę zaraz i cuda Panu opowiem.

Przeszedłem — po chwili weszedł kupiec i zaraz tak zaczął:

— Jaka to poczciwa córka téj mojej pi-sarzowej! to sama szczerłość, sama cnota.

— Zatem mam Panu powinszować.....
przyjęła pańską rękę?

— Przeciwnie.

— I pan ją wychwalasz?

— Nie mogę inaczej. — Wystaw Pan sobie co to za cnota! ona nie zaślepiła się moim majątkiem, chociaż ję wyliczyłem, co mam, co ona będzie miała. — A przecież nie jedna dama za nieboszczyka współzgnitegoby poszła, gdyby ję pokazał tyle złota co ja mogę pokazać. Ona odpowiedziała mi szczerze, że gdyby za mnie poszła, to by mię nie kochała i jabym z nią nie był szczęśliw. Co to za szczerosc mój Panie!... Przyznała mi się, że kocha biednego krawczyka i nigdy go nie zapomni. Wiesz pan, ja rozplakałem się na to, co to za pocziwa dziewczyna! Jednak chcę ję cnotę nagrodzić.

— I cóż Pan zrobisz? zapytałem.

— Ję kochankowi założę warsztat, ożenię ją, dam kilka tysięcy, bo dla niej wiele nie potrzeba, ona będzie szczęśliwa.

Wyprawił Pan Augustyn wesele córce pisarzowej, założył warsztat krawiecki dla jej męża dał kilka tysięcy na początek i zrobił ją szczęśliwą.

Nie długo jednak widokiem swego dzieła się cieszył. — Po kilkodniowej bowiem słabości zakończył cnotliwy żywot, zakończył go jak zaczął, — to jest pracą i dobroczynnością.

Dziwne o nim ludzie prawili rzeczy, dziwne wyprowadzali wnioski — bo go nie wszyscy pojęli, bo nie wszyscy wniknęli w jego życie duchowe. Ja poznałem go — wielbiłem — i życzę całej ludzkości podobnych członków. — A teraz pokój wieczny jego popiołom! —

K O N I E C.



14*



Wprawdzie Pan Augustyn wesele swoje
działowój, zadowol wstąpił krawiec
iż maza dał kilka kręgiy na podczek i
zrobił ją szczyliwą.

Nie długo jednak widokiem swego dzie-
ła się cieszył. — Po kilkunastu dniach
staposci zakoneczyl chodliwy żył, zakon-
czył go jak zwyczaj, — to jest pracą i do-
broczynnością.

Dziwno o nim ludzie prawili rzeczy,
dawnie wyprowadzali wnioski — że go
nie wszyscy pojeli, że nie wszyscy wni-
knęli w jego życie duchowe. Ja poznałem
go — wielbieni — i życie całej ludzkości
podobnych członków. — A teraz bokuć wie-
czy jego popiołom! —

KONIEC





Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 14808

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171560